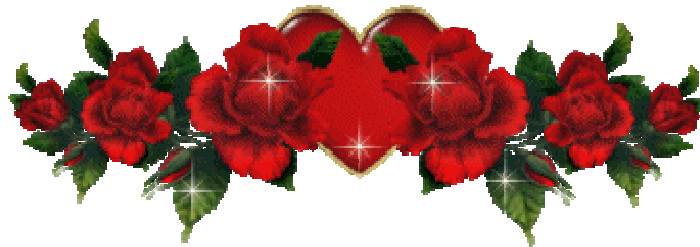




Anne McAllister



Tydzień na Fidżi

Tytuł oryginału: The Boss's Wife for a Week

ROZDZIAŁ PIERWSZY

To papierkowa robota wiązała Sadie Morrissey ze Spencerem Tyackiem.

Spence kompletnie nie radził sobie z pracą biurową. Firma Tyack Enterprises, zajmująca się budownictwem i handlem nieruchomościami, odnosiła olbrzymie sukcesy, ponieważ jej właściciel odznaczał się wielką wnikliwością i spostrzegawczością, skrupulatnie przestrzegał zasad etyki zawodowej - oraz zatrudniał Sadie, która dbała o detale.

Pracowała u niego od wielu lat. Zaczęła jeszcze jako licealistka, kiedy Spence był tylko ubogim, lecz ambitnym dwudziestojednolatkiem. Obecnie, po upływie dekady, posiadał międzynarodowy koncern budowlany i prowadził interesy na pięciu kontynentach. Czasami Sadie myślała, że zawładnąłby już całym światem, gdyby tylko potrafiła nadażyć z papierkową robotą.

- Musisz pracować szybciej - powtarzał jej często, błyskając swym olśniewającym uśmiechem, gdy wpadał do biura w drodze do Londynu, Paryża, Aten czy Nowego Jorku.

- Nie da rady - odpowiadała i ciskała w niego zmiętą kulką papieru, a on mrugał do niej żartobliwie.

Opierała się jego uśmiechowi i urokowi.

- Mam wystarczająco dużo pracy - oznajmiała cierpko.

Oczywiście Spencer wiedział o tym. Wiedział, że Sadie ma na głowie wszystkie sprawy administracyjne oraz organizację spotkań biznesowych, a jej książka adresowa jest grubsza niż jego własna. Po prostu się z nią droczył. Potem z czarującym uśmiechem dorzucał jej

kolejny tuzin spraw do załatwienia i wypadał z biura, żeby zdążyć na samolot, a Sadie wracała do swoich obowiązków.

Nie uskarżała się na los. Aż do zeszłego roku miała powód, żeby pozostawać w Butte. Opiekowała się swoją mieszkającą samotnie starą babką.

Jednak babka zmarła przed sześcioma miesiącami i rodzice gorąco namawiali Sadie, żeby przyjechała do nich do Oregonu, a jej brat Danny zapewniał, że bez trudu załatwi jej świetną pracę w Seattle.

Lecz Sadie nie wyjechała. Lubiła miasteczko Butte z jego burzliwą, powikłaną historią. Uwielbiała wyrazistą zmienność pór roku i rozległe krajobrazy Montany i wciąż uważała tę okolicę za najwspanialsze miejsce na ziemi.

Lubiła też swoje życie, mimo że wypełniała je głównie praca. Zawsze dobrze dogadywała się ze Spencerem w kwestiach zawodowych, a jej obowiązki były pasjonujące, choć wymagały szaleńczego zaangażowania i częstego wysiadania po godzinach. Starła się zapewnić sprawne funkcjonowanie biura, tak aby Spence mógł nadal wykupywać świat kawałek po kawałku.

Niekiedy dochodziła do wniosku, że powinna była urodzić się ośmiornicą. Lecz dzisiaj nie wystarczyłoby jej nawet ośmiu ramion, żeby uporać się ze wszystkimi sprawami, które się na nią zwały. Telefon urywał się od samego rana. Do pory lunchu odbyła już cztery rozmowy z natrętnym Włochem, który koniecznie pragnął sprzedać Tyackowi jakieś osiedle apartamentowców w Neapolu, mimo iż zapewniała go, że Spence nie jest tym zainteresowany i przebywa teraz w Nowym Jorku.

Rozmawiała również z władcym greckim potentatem o nazwisku

Achilles, który również nie chciał przyjąć do wiadomości odmowy. Jednak jej najtrudniejszym zadaniem było opracowanie planu tygodniowego pobytu Spencera i jego partnerów biznesowych na jednej z małych wysepek archipelagu Fidżi - Nanumi - w kurorcie dla zestresowanych i przepracowanych biznesmenów, którego współwłaścicielami zamierzali zostać. Spencer odnosił się z rezerwą do tej podróży. Był człowiekiem czynu i nie miał czasu na błogi urlop w ziemskim raju.

- Nie jedziemy tam, żeby leniuchować - oświadczył jej ostatnio. - Chcemy jedynie obejrzeć ten ośrodek wypoczynkowy i, jeśli uda się nam zbić cenę, wykupić w nim udziały.

- Owszem, wy tego chcecie - zgodziła się Sadie. - Ale jego właściciel, pan Isogawa, pragnie, abyście doświadczyli kojącego spokoju miejsca, w które zamierzacie zainwestować.

Japoński przedsiębiorca Tadahiro Isogawa już podczas pierwszej rozmowy telefonicznej dał jej jasno do zrozumienia, że poszukuje takich inwestorów, którzy podzielą jego ideę prowadzenia kurortu i osobiście się z nią zaznajomią.

- Oczekuje, że zjawicie się tam wszyscy i spędzicie tydzień wraz z rodzinami, poznając ośrodek, piękną okolicę oraz siebie nawzajem - dodała.

- Nie mam rodziny - przypomniał jej Spencer.

- Więc powiedz to panu Isogawie. On przywiązuje wielką wagę do instytucji małżeństwa i rodziny. Uważa również, że ludzie, którzy zbyt ciężko pracują, niekiedy zatracają prawdziwą hierarchię wartości - i właśnie dlatego powinni przyjechać do Nanumi. To słowo w języku fidżi oznacza „przypomnieć sobie”.

Lecz Spencer pozostał niewzruszony. Uniósł brwi i rzucił Sadie sceptyczne spojrzenie, które znała aż nazbyt dobrze.

- Zrobisz, jak zechcesz - rzekła, wzruszając ramionami. - Ale on mówi, że jeśli zależy wam na podpisaniu umowy, powinniście pomieszkać tam przez tydzień razem z małżonkami.

Spencer wymownie przewrócił oczami, lecz jego pragnienie nabycia kurortu zwyciężyło i w końcu rzucił:

- Dobrze, niech będzie, skoro tak nalega. Zorganizuj wyjazd naszej grupy.

Tak więc do zwykłych obowiązków Sadie doszło jeszcze załatwianie wszystkich formalności związanych z podróżą inwestorów i ich rodzin do kurortu Nanumi. Musiała też odpowiadać na tysiące pytań zdumionych i zaskoczonych żon, które upewniały się, czy wyjazd na Fidżi naprawdę dojdzie do skutku.

- Nigdy nie mamy urlopów - oznajmiła Marion Ten Eyck. - John zawsze jest taki zapracowany.

Mniej więcej to samo powiedziała Cathy, małżonka Steve'a Walkera. A żona Richarda Carstairsa, Leonie, wydzwaniała codziennie, pytając:

- Jesteś całkiem pewna? Czy Richard o tym wie? Sadie upewniała ją wciąż od nowa, że Richard naprawdę wie o wyjeździe. Zaczynała dochodzić do wniosku, że pan Isogawa ma sporo racji - tym ludziom istotnie przyda się wypoczynek.

A kiedy wreszcie ukończyła przygotowania i zabrała się do przeglądania kontraktu na budowę osiedla w Georgii, telefon znowu zadzwonił.

Zamknęła oczy i pomodliła się o cierpliwość, po czym sięgnęła po słuchawkę, myśląc przelotnie, że w gruncie rzeczy nie potrzebuje ośmiu ramion, tylko ośmiorga uszu.

- Tyack Enterprises - rzuciła.

Usłyszała trzaski transoceanicznego połączenia, a potem głos mówiący po angielsku z obcym akcentem - na szczęście nie włoskim ani greckim.

- Ach, *Isogawa san, konnichi wa* - rzekła z ulgą. - Miło mi pana słyszeć!

Mówiła szczerze. Pan Isogawa był chyba jedyną osobą na świecie, z którą ostatnio nie rozmawiała.

- Wszyscy przyjadą w niedzielę - poinformowała go i uśmiechnęła się z jego radosnej reakcji.

Już jakiś czas temu zorientowała się, że pan Isogawa czerpie wiedzę o ludziach Zachodu wyłącznie z filmów. A ponieważ ona nie spędzała czasu na pościgach samochodowych i strzelaninach, tylko ciężko pracowała, uważał ją za wspaniałą urzędniczkę.

- Pani też koniecznie musi przyjechać - powiedział.

- Dziękuję. Z przyjemnością bym to uczyniła - odparła Sadie z uśmiechem. Któż nie chciałby spędzić tygodnia w istnym raju u wybrzeży południowego Pacyfiku? - Ale mam tu mnóstwo roboty.

- Za dużo pani pracuje. Pani również powinna odpocząć. Znaleźć czas na prywatne życie.

Skąd się dowiedział, że ona w ogóle nie ma prywatnego życia?

- Proszę porozmawiać ze Spencerem - dodał.

- On to załatwi.

Spence sam nigdy nie miał urlopów i nie widział żadnego powodu, by jego podwładni je brali. Formalnie Sadie przysługiwały co roku dwa tygodnie wolnego, lecz nie pamiętała, by kiedykolwiek je wykorzystała.

- Może kiedyś - powiedziała do pana Isogawy i dorzuciła w duchu: „Na święte nigdy”.

Jednak po odłożeniu słuchawki zastanowiła się nad jego słowami.

Nie nad propozycją wyjazdu na Fidżi - na to nie było szansy - lecz nad tym, że być może powinna wyrwać się stąd na dobre. Odejść z firmy. Przez całe lata wmawiała sobie, że jest zachwycona życiem, jakie wiedzie - wypełnionym obowiązkami, ale urozmaiconym i ekscytującym.

Ale czy to naprawdę jest życie?

Rob McConnell, z którym spotykała się od kilku miesięcy, był pewien, że nie.

- Nie masz czasu na nic oprócz tej przeklętej pracy - uskarżał się stale. - A lata lecą.

Wiedziała, że Rob się irytuje, gdyż pragnie czegoś więcej niż tylko przygodnego związku. Nie winiła go za to. Był miłym człowiekiem, chciał się ożenić i założyć rodzinę. A czas rzeczywiście uciekał. Sadie miała już dwadzieścia osiem lat - najwyższa pora, żeby związać się z kimś na stałe.

Pragnęła stałego związku - ale nie z Robem. I na tym polegał problem.

Może istotnie powinna się stąd wyprowadzić. Rozważała to od wizyty brata z żoną Kel i ich jednorocznymi bliźniakami. Danny zawsze był luzakiem, takim samym jak Spence, toteż ujrzenie go w roli głowy rodziny naprawdę nią wstrząsnęło.

- Kto by pomyślał, że ustatkuję się wcześniej od ciebie - powiedział do Sadie wieczorem w przeddzień wyjazdu i zmierzył ją uważnym spojrzeniem, pod którym aż się skuliła. - A ty wciąż jesteś wołem roboczym Spence'a. Tyrasz dla niego bez chwili wytchnienia.

- Wcale nie! - zaprotestowała, po czym zerwała się na nogi i zaczęła nerwowo krążyć po pokoju.

- A kiedy odpoczywasz? Gdy pracujesz siedemnaście godzin zamiast osiemnastu?!

- Mam wspaniałą pracę i lubię ją!

- A co z życiem osobistym? Prawie z nikim się nie widzisz.

- Nieprawda. Rob...

- Nie traktujesz go poważnie. Znajdź sobie kogoś na serio, wyjdź za mąż i załóż rodzinę, o której zawsze marzyłaś. Uwierz mi, tracisz tylko czas na Spence'a.

- Nie umawiam się ze Spence'em.

- I chwała Bogu - rzekł Danny. - To mój przyjaciel, ale nie jest wymarzonym kandydatem na męża, prawda?

- Ja tylko u niego pracuję.

- Więc rzuć tę pracę i wyjedź do Seattle. Tam bez trudu znajdziesz lepsze zajęcie.

- Nie mogę.

- Dlaczego? Czy on zawładnął twoją duszą?

- Och, oczywiście, że nie! - odparła, ale rumieniec oblał jej twarz.

Na szczęście Danny tego nie zauważył.

- W każdym razie to dziwne - powiedział. - Pracujesz u niego już od liceum.

- Bo on potrzebuje pomocy. Doskonale potrafi wynajdywać nieruchomości i zyskownie je remontować. Świetnie ogarnia całokształt zagadnień, ale nie radzi sobie z detalami i papierkową robotą. Zresztą przecież wyjechałam, nie pamiętasz? Przez cztery lata studiowałam na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles.

- Ale potem wróciłaś do niego!

- Nie do niego, tylko do pracy. Spence płaci mi krocie, a oprócz tego mam udział w zyskach firmy. Gdzie indziej w moim wieku znalazłabym taką świetną, perspektywiczną posadę? I w dodatku nadal mogę mieszkać w Butte.

- Ach, to rzeczywiście zaleta! Butte - centrum kulturalne zachodniej cywilizacji!

Istotnie, górnicze niegdyś miasteczko Butte było do niedawna zapadłą dziurą, lecz po długim okresie stagnacji teraz powoli znowu zaczynało się podźwigać i prosperować - w dużej mierze dzięki Spencerowi i kilku innym przemysłowcom, zdecydowanym inwestować tutaj i wprowadzić nowoczesne zmiany.

- Nie bądź uszczypliwy - rzuciła Sadie lodowatym tonem. -I nie kalaj rodzinnego gniazda. Spence tak nie robi, choć miałby do tego o wiele większe prawo niż ty.

Ona i Danny przeżyli w Butte szczęśliwe dzieciństwo ze zgodnymi, kochającymi rodzicami. Natomiast życie Spence'a, od momentu gdy skończył dziesięć lat i umarł jego ukochany dziadek, otaczający go troskliwą opieką, zmieniło się w istne piekło. Ojciec pijak niemal stale był bez pracy i tylko z rzadka pojawiał się w domu, by stłuc Spence'a i znęcać się nad żoną, która odgrywała się później na ich jedynym synu.

Spencer nigdy nie wpuścił Sadie do domu, ale nieraz słyszała, jak matka wrzeszczała na niego: „Jesteś taki sam jak twój ojciec!”.

Jednak nic nie było dalsze od prawdy.

W przeciwieństwie do ojca Spencer zawsze uparcie dążył do wytkniętego sobie celu. Nawet gdy w liceum był kimś w rodzaju młodocianego przestępcy, chciał być najważniejszy w bandzie.

Zszedł ze złej drogi po tym, jak pewnego razu jego kurator wymógł na nim, by spotkali się nie w gabinecie, lecz przy grobie dziadka. Właśnie wtedy Spence postanowił dojść do czegoś w życiu, osiągnąć sukces i stać się możliwie jak najlepszym człowiekiem, tak aby starzec mógłby być z niego dumny.

Pracował ile sił, odmawiał sobie wszystkiego i w wieku dwudziestu jeden lat kupił swój pierwszy dom - a raczej ruderę z przeciekającym dachem.

Zaczął pracować w kopalni, potem zdobył lepiej płatne zajęcie kierowcy olbrzymiej ciężarówki i całymi dniami wywoził wydobywaną miedź. Nocami zaś remontował dom. Po siedmiu miesiącach sprzedał go z zyskiem i kupił do remontu następny, po czym powtarzał tę operację jeszcze kilkakrotnie.

Gdy skończył dwadzieścia dwa lata, uzyskał z banku pierwszą pożyczkę pod zastaw hipoteczny. Wówczas wynajął Sadie, aby zaprowadziła ład w chaosie jego dokumentów - i ulokował ją w mieszkalnej części ciężarówki.

- Nie mogę marnować pieniędzy na biuro - oświadczył.

Pracowała tam przez pierwszy rok w niesłychanie prymitywnych warunkach - przy świetle lampy akumulatorowej, przechowując całą kartotekę w tekturowym pudle. Ale powiodło się jej.

Podobnie jak Spencerowi. Po roku dorobił się pierwszego dużego budynku, potem kolejnego. W ostatniej klasie liceum Sadie dostała wreszcie własny gabinet.

Kiedy oznajmiła Spence'owi, że wyjeżdża na studia do Kalifornii, wpadł w furję.

- Przecież urządziłem ci gabinet. Myślałem, że będziesz nadal u mnie pracować?

- Nie przez całe życie - odparła.

Zwariowałyby, gdyby to miało trwać wiecznie - ponieważ odkąd sięgała pamięcią, była w nim zakochana.

Oczywiście Spence nic o tym nie wiedział.

Sadie wcześniej próbowała z nim delikatnie flirtować, lecz kompletnie to zignorował. Tak więc, chcąc nie chcąc, pogodziła się z sytuacją i wyjechała na Uniwersytet Kalifornijski.

Miała nadzieję, że nauczy się mnóstwa rzeczy, a potem zdobędzie świetną pracę i pozna wspaniałego mężczyznę, dzięki któremu zapomni o Spencerze.

Wprawdzie każdego lata przyjeżdżała w odwiedziny do babci, mieszkała w domu rodziców i pomagała Spence'owi w pracy biurowej, lecz nie zamierzała już nigdy wrócić do Butte na stałe.

Wszystko poszło zgodnie z planem. Zyskała rozległą wiedzę, ukończyła studia z wyróżnieniem i otrzymała świetne oferty pracy - w tym także od Spencera.

Przyjechał na ceremonię rozdania dyplomów.

- Jestem żywo i zainteresowany twoim magisterium z handlu - rzucił beznamiętnie, po czym z charakterystyczną dla siebie niecierpliwością jeszcze tego samego popołudnia zaproponował jej doskonale płatne stanowisko w swojej firmie oraz udział w zyskach.

Sadie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wciąż nie udało jej się o nim zapomnieć, a jego zabójczy uśmiech i muskularne ciało nadal wywoływały w niej rozkoszne drżenie.

Wiedziała, że zachowuje się beznadziejnie, i uznała, że potrzebuje terapii szokowej - pełnego zanurzenia w biznesowym świecie Spencera Tyacka, który wyleczy ją z wszelkich romantycznych mrzonek.

Tak więc przyjęła jego propozycję.

Od tego czasu minęło już sześć lat, w ciągu których wiele się wydarzyło. Wmawiała sobie, że wyzwoliła się spod uroku Spence'a, i spotykała się z innymi mężczyznami, choć żaden z nich nie przyprawiał ją o mocniejsze bicie serca.

Wiedziała, że Spencer nie jest przeznaczony dla niej.

- Lubię u niego pracować - oświadczyła Danny'emu.

Spencer był człowiekiem czynu. Posiadał w siedmiu krajach nieruchomości, osiedla mieszkaniowe, biurowce i apartamentowce - i wciąż tryskał nowymi pomysłami, które zawsze omawiał z Sadie.

Może istotnie nie miała osobistego życia, ale za to uczestniczyła w pasjonujących przedsięwzięciach biznesowych. W ubiegłym tygodniu Spencer finalizował w Helsinkach kontrakt na wybudowanie biurowca. W tym tygodniu oglądał w Nowym Jorku apartamenty, które zamierzał nabyć wspólnie z zaprzyjaźnioną firmą inwestycyjną Toma Wilsona i jego córki

Deny - a w przyszłym, przy odrobinie szczęścia, podpisze umowę i zostanie współwłaścicielem kurortu na południowym Pacyfiku.

Sadie westchnęła smętnie i pomyślała, że ona w tym czasie będzie w Butte.

Telefon znów zadzwonił; Bez wahania podniosła słuchawkę.

- *Sad-die, case me, meu amor* - odezwał się głos gładki jak aksamit.

Rozpoznała go i uśmiechnęła się. Mateus Gonsalves był jedynym znanym jej mężczyzną oprócz Spencera, który rozpałał krew w żyłach kobiet - i wiedział o tym.

- Cześć, Mateus. Obrigada. Ale nie, nadal nie chcę za ciebie wyjść. A Spence jest w Nowym Jorku.

Gonsalves westchnął i przeszedł na doskonałą, choć obco akcentowaną angielszczyznę:

- Nie chcę poślubić Spence'a, tylko ciebie. Prowadzili tę rozmowę już co najmniej z tuzin razy. Odkąd Spencer przedstawił Sadie swego brazylijskiego przyjaciela, Mateus stale flirtował z nią, wykorzystując swój latynoski czar, i namawiał, by została jego żoną.

- Nigdy nie mieszam interesów i przyjemności - odparła.

- A powinnaś. Życie w Rio to nieustanna zabawa. Zostaw tego pracoholika i przyjedź do mnie.

- Pracujesz niemal równie ciężko jak on - zaśmiała się.

- Ale lepiej to ukrywam i biorę urlopy.

- A w jakiej sprawie dzwonicz? - spytała. Mateus jak zwykle wprawnie przełączył się na tryb zawodowy.

- Muszę porozmawiać ze Spencerem o pewnym budynku w Sao Paulo.

- Przekażę mu to - przyrzekła.

- Obrigado. Powiedz, że mam dla niego ofertę. I mam też propozycję dla ciebie.

- Nie poślubię cię, Mateus - powiedziała Sadie stanowczo.

- Nie mówię o małżeństwie - odrzekł smutnym tonem. - Ale teraz poważnie, powinnaś podjąć pracę u mnie. Otwieram biuro w Teksasie, a ty mogłabyś poprowadzić je jedną ręką.

I mieć prywatne życie, pomyślała przelotnie, lecz zaraz westchnęła i potrząsnęła głową. Opędzanie się od zalotów Mateusa byłoby prawdopodobnie jeszcze trudniejsze niż praca dla Spence'a, który zdaje się w ogóle nie pamiętać, że ona jest kobietą.

- Dzięki, Mateus, ale nie.

- Jeszcze o tym porozmawiamy - obiecał. - *Adeus, carinha.*

- Ciao, Mateus - powiedziała.

Odłożyła słuchawkę i wzięła z biurka kontrakt, zamierzając przejrzeć go w domu. Dzięki temu będzie przynajmniej mogła powiedzieć, że wyszła z biura o normalnej porze. Lecz w tym momencie zadzwoniła jej komórka. Sadie spojrzała na wyświetlacz i gniewnie zmarszczyła brwi.

- Jest już po piątej - rzuciła do mikrofonu.

- Miło cię słyszeć - powiedział Spence. - Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła.

Umilkł. Wydawał się podenerwowany.

- Słucham - rzekła, biorąc do ręki ołówek.

- To nic wielkiego. Przywieź mi do Nowego Jorku mój akt urodzenia oraz dokumenty rozwodowe.

Sadie zamarła.

- Jesteś tam? Słyszałaś mnie? - spytał ostro.

- Tak - zdołała wykrztusić.

- Świetnie. Złap samolot i dostarcz mi te papiery do jutra do drugiej po południu.

Nie potrafiła wydobyć głosu. Wpatrywała się w ołówek, który przed chwilą złamała.

- Mogłabyś mi pogratulować, ponieważ się żenię - rzekł Spencer wyzywającym tonem.

- Jutro? Czy to aby nie nadmierny pośpiech? - spytała.

„Zamknij się” - powiedziała do siebie. - „Zamknij się. Zamknij się”.

- Tym razem wszystko pójdzie dobrze - oświadczył beznamiętnie. - Nie tak jak z Emily.

- Nie miałam na myśli Emily - rzuciła Sadie, nie potrafiąc się powstrzymać. - To nie ją poślubiłeś.

- Pamiętam, kogo poślubiłem - warknął Spence. Sadie również to pamiętała. Poślubił ją! Poślubił ją, gdy piękność z wyższych sfer, Emily Mollineux, wystawiła go do wiatru i nie zjawiała się na ceremonii ślubnej w Las Vegas.

Kiedy wypadł z kaplicy z furią w oczach, Sadie poszła za nim. Nie wiedziała, co zamierzał, ale nawet przez myśl jej nie przeszło, że kilka kolejek whisky później Spence zaproponuje jej małżeństwo.

- Wyszłabyś za mnie, prawda? - zapytał natarczywie, a Sadie z absolutną szczerością odpowiedziała twierdząco.

I w ciągu godziny się pobrali.

Podpisali stosowne dokumenty i otrzymali świadectwo ślubu, a potem wrócili do apartamentu dla nowożeńców i kochali się namiętnie,

rozpaczliwie i cudownie. To była najbardziej zachwycająca noc w życiu Sadie.

Lecz gdy obudziła się nazajutrz rano, Spencer już całkowicie ubrany rzucił, przechadzając się nerwowo po pokoju:

- To był błąd. Nie powinienem był... Do diabła! Przepraszam cię, Sadie. Nie zamierzałem... Nie wiem, co mi strzeliło do głowy! Ale nie martw się. Dostaniemy rozwód.

- R-rozwód? - wyjąkała. Spencer gwałtownie kiwnął głową.

- Nie zdołamy uzyskać unieważnienia ślubu

- rzekł posepnie. - Ale rozwód nie będzie stanowił problemu.

Obiecuję, że się tym zajmę.

Czy związek z nią był dla niego taki okropny? Taki straszny?

Najwyraźniej tak.

Spencer przyjrzał się jej badawczo.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

Och jasne, fantastycznie. Nigdy nie czuła się lepiej!

- Nic mi nie jest - odparła tak spokojnie, jak tylko potrafiła.

- Nie miałem zamiaru... Żałuję, że... - Urwał.

- Możesz tu zostać, jak długo zechcesz. Ja zadzwoniłem dziś rano do Barcelony. Po prostu polecę tam kilka dni wcześniej. Ale nie przejmuj się, mój adwokat zajmie się rozwodem. I mam nadzieję, że nadal będziesz u mnie pracowała - dodał z całkowitą powagą.

Najwidoczniej ta noc nic dla niego nie znaczyła. Sadie wiedziała, że powinna odmówić, ale obawiała się, że w ten sposób zdradzi się ze swym bólem. Dlatego odparła:

- Zostanę w twojej firmie... na razie.

Obdarzył ją tym swoim olśniewającym, seksownym uśmiechem, któremu od tylu lat usiłowała się oprzeć.

- A więc wszystko w porządku - rzekł uradowany. - Jesteś prawdziwym kumplem, Sadie.

Czy tylko tym dla niego była?

- Skontaktuję się z adwokatem - oświadczył - a potem zadzwonię do ciebie z Barcelony.

I to w zasadzie było wszystko.

Z wyjątkiem tego, że kiedy zatelefonował z Hiszpanii, spytał niezwykle zatroskanym tonem, jakiego nigdy wcześniej wobec niej nie używał:

- Dobrze się czujesz?

- Oczywiście - odparła.

Prędzej padłaby trupem, niż dała mu poznać, że śmiertelnie zranił jej serce.

Widocznie zabrzmiała przekonująco, gdyż już nigdy więcej o to nie zapytał. A gdy po miesiącu zjawił się w biurze, rzucił tylko:

- Nie martw się. Wszystko załatwione. Mam te dokumenty rozwodowe.

I tak się zakończyło jej krótkie małżeństwo ze Spence'em.

Żadne z nich więcej do tego nie wracało. Sadie nigdy nie zapomniała, ale z czasem zaczęła myśleć o tym ślubie, jakby wydarzył się w jakimś równoległym wszechświecie. Jakby był snem... czy raczej koszmarem.

Aż do teraz, gdy powiedziała:

- Nie wiem, gdzie są te dokumenty.

- W mojej skrytce sejfowej: Masz do niej klucz - powiedział, po czym dodał: - To tylko biznes, Sadie. Chyba nie sądzisz, że się zakochałem?

- Biznes?

- Żenię się z Deną Wilson. To świetny pomysł. Połączymy siły i przez to podwoimy nasze wpływy i możliwości.

- Tak, ale... już jutro?

- Dzięki temu będziemy małżeństwem jeszcze przed podróżą na Fidżi. Po prostu zjaw się w sądzie z dokumentami jutro po południu. Ceremonię ślubną wyznaczono na drugą. Potraktuj to jak krótkie wakacje. Zarezerwuję ci pokój w hotelu. Muszę już kończyć - Tom i Dena właśnie pukają do drzwi. Do zobaczenia jutro.

Sadie stała, wpatrując się w słuchawkę. Miała wrażenie, że jej uporządkowany świat wywrócił się nagle do góry nogami.

Gdzie ona, u diabła, się podziewa! - zastanawiał się Spencer, przechadzając się nerwowo po korytarzu przed gabinetem sędziego i po raz dziesiąty spoglądając na zegarek.

Nie wiedział, o której Sadie przylatuje, gdyż na noc wyłączył komórkę, aby uniknąć jej telefonów i przekonywania, że popełnia błąd.

Był pewien, że tym razem nie popełnia żadnego błędu.

Owszem, błędem był zamiar poślubienia Emily Mollineux, podjęty pod wpływem młodzieńczego zauroczenia i szalejących hormonów - oraz chęci poślubienia piękności pochodzącej ze starej zamożnej rodziny.

Jeszcze większym błędem był ślub z Sadie. Odrzucony przez Emily, zachował się jak szaleniec, pragnąc za wszelką cenę odzyskać poczucie

własnej wartości. Zwrócił się do Sadie, wykorzystując jej niezłomną przyjaźń - a ona się zgodziła.

Jednak nazajutrz w trzeźwym świetle poranka uświadomił sobie, że popełnił błąd -i zrobił wszystko, aby go naprawić.

Obecnie nie popełni ponownie takiego błędu. Małżeństwo z Deną Wilson to czysty interes, korzystny dla obydwu stron.

Wiedział, że Sadie jest idealistyczną romantyczką, łudzącą się, iż pewnego dnia spotka tego Jedynego, wymarzonego mężczyznę". Nie chciał słuchać jej krytyki własnych przyziemnych planów małżeńskich. Dlatego wyłączył komórkę... i nie miał pojęcia, kiedy Sadie się pojawi.

Nie mógł się do niej dodzwonić. Być może jeszcze leciała samolotem. Ale na Boga, lepiej, aby tak nie było! Ceremonia ślubna miała się rozpocząć za niespełna kwadrans.

- Sadie zaraz się zjawi - rzekł uspokajająco do Deny.

- Naturalnie - odparła ze swym zwykłym niewzruszonym uśmiechem. - Tymczasem przejrzę kilka dokumentów handlowych.

Po następnych dziesięciu minutach z sali sądowej wyszedł jej ojciec, Tom Wilson, i oznajmił:

- O dziewiątej wieczorem mam spotkanie z Sawyerem w Savannah.

Lepiej już zacznijmy.

- Nie ma jeszcze Sadie - odparł Spencer.

- Nie żenisz się przecież z nią.

- Ale ona ma dostarczyć mój akt urodzenia i dokumenty rozwodowe.

- Więc weź ślub teraz, a o papierki będziesz się martwił później - zaproponował Tom i ostentacyjnie spojrzął na zegarek.

Spence uznał ten pomysł za rozsądny i logiczny. Takie też będzie jego małżeństwo. Dzięki połączonym aktywom państwo Tyackowie w dłuższej perspektywie ogromnie wzmocnią swoją pozycję na rynku budownictwa i nieruchomości. I na krótszą metę rozwiążą problem „rodzinnych oczekiwań” pana Isogawy. Ponadto przed miesiącem w Barcelonie Spencerowi niedwuznaczną propozycję uczyniła żona jednego z jego partnerów biznesowych. Nie miał najmniejszej ochoty na to, aby w kurorcie wznowiła swoje podchody, i żywił nadzieję, że posiadanie żony wystarczająco go przed tym zabezpieczy.

Tak więc małżeństwo z Deną otwierało przed nimi obojgiem obiecujące możliwości. Dena również to pojęła, gdy tylko wystąpił z tą propozycją.

- Sprytne — orzekła. - Zrobimy to dla interesu. I dla seksu, oczywiście. Ale żadnych dzieci. Takie są moje warunki.

Spencer zaakceptował je bez wahania, gdyż sam myślał podobnie.

I oto teraz byli tu wszyscy - z wyjątkiem Sadie.

- A więc jesteśmy gotowi? - zapytał energicznie Tom.

- Jasne - odparł Spencer.

Weszli do sali. Po chwili pojawił się sędzia i zaczął pośpiesznie klepać formułki ślubnej ceremonii. Spencer słuchał jednym uchem, uważając jedynie, by w odpowiednim miejscu powiedzieć „tak”. Nagle usłyszał skrzypnięcie drzwi i gwałtownie odwrócił głowę.

Ujrzał Sadie, jednak nie jak zazwyczaj spokojną i opanowaną, lecz wzburzoną, z rozwianym włosiem i przekrwionymi oczami. Wyglądała jak spłoszona łania, schwytna na szosie w promień reflektorów pędzącej

ciężarówki. Usiłowała coś powiedzieć, ale sędzia szorstko polecił jej usiąść i być cicho, po czym ciągnął dalej:

- Czy ktoś z zebranych wie o istnieniu jakichkolwiek prawnych przeszkód, uniemożliwiających zawarcie tego małżeństwa?

- Tak - odezwała się cicho Sadie.

Spence, Dena i Tom popatrzyli na nią zdumieni. Sędzia ściągnął brwi i spytał:

- Jakie to przeszkody?

W co ona gra? - zastanawiał się gorączkowo Spencer, piorunując Sadie wzrokiem.

- On już jest żonaty - powiedziała. - Ze mną.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Co takiego?! - zawołał Spencer. - O czym ty mówisz? To było wieki temu, a dokumenty rozwodowe...

Dena, Tom i sędzia trwali w milczącym osłupieniu.

- Musimy porozmawiać o tym na osobności - przerwała mu Sadie.

- Ja myślę! - warknął Spencer.

Rzucił przepaszające spojrzenie sędziemu, a potem chwycił ją brutalnie za ramię, wyprowadził z sali, wciągnął do niewielkiego pustego pokoiku po drugiej stronie korytarza, zatrzasnął drzwi i zapytał wściekle:

- Co ty, do diabła, wyprawiasz?

- Próbuję powstrzymać cię przed popełnieniem bigamii - odparła.

- Przecież następnego dnia po naszym nieszczęsnym ślubie złożyłem wniosek o rozwód!

- Nie - sprostowała. - Zadzwoiłeś tylko do adwokata i poleciłeś, żeby się tym zajął.

- A on to zrobił. Dostałem dokumenty!

- Dostałeś kopertę, której nie otworzyłeś. Ja na twoim miejscu upewniłabym się przynajmniej, że sprawa została załatwiona.

- Więc co było w tej kopercie? - spytał oszołomiony.

Wyjęła ją z aktówki i mu podała. W środku był list od adwokata rozwodowego, zawierający prośbę, by Spencer zapewnił sobie w Nevadzie adres stałego zamieszkania, a po sześciu tygodniach wypełnił i wysłał do kancelarii załączone formularze. Jeżeli po kolejnych sześciu tygodniach nikt nie zgłosi sprzeciwu, wówczas jego rozwód zostanie prawnie usankcjonowany.

Spence dwukrotnie przeczytał list, a potem cisnął go z furją na biurko.

- Do diabła! Mogli do mnie zadzwonić! Czy uważali, że się rozmyśliłem?

- Właśnie tak - odparła.

Poprzedniego wieczoru bez trudu odnalazła w sejfie akt urodzenia Spencera, lecz nie było tam dokumentów rozwodowych, a jedynie zapieczętowany list z kancelarii adwokackiej w Las Vegas. Zorientowała się, że Spence w ogóle go nie otworzył. Po przeczytaniu listu natychmiast zadzwoniła do sądu i dowiedziała się, że nie przeprowadzono tam żadnego postępowania rozwodowego dotyczącego Spencera Tyacka. Było już za późno, żeby skontaktować się z adwokatem. Zatelefonowała do niego dopiero dzisiaj rano podczas nieprzewidzianego międzylądowania samolotu w Detroit.

- Sprawdził w kartotece, lecz nie znalazł niczego oprócz notatki o twojej wstępnej prośbie telefonicznej - rzekła do Spence'a. - Powiedział, że uznał, iż po prostu zrezygnowałeś z rozwodu. Podobno ludzie czynią tak częściej, niż się sądzi.

Spencer wpatrywał się w nią bez słowa. Wzruszyła ramionami.

- A więc wygląda na to, że nadal jesteśmy małżeństwem.

Powiedziała to z pozornym spokojem, lecz przez całą noc ta myśl nie dawała jej zasnąć. Jest wciąż zamężna? Ze Spencerem?

- Do diabła! - zaklął ponownie i dłonią zmierzwił włosy. Na szczęście nie oczekiwała, że będzie wniebowzięty. - To kompletnie rujnuje moje plany. Ale to nie twoja wina - mruknął niechętnie. - Ja spieprzyłem sprawę.

Rozległo się ciche pukanie i Tom Wilson wsadził głowę przez uchylone drzwi.

- Załatwione? - spytał.

- Mamy... mały problem - odparł Spence. - Właściwie nie taki znów mały - dodał ponuro.

Tom spojrział na Sadie.

- Wciąż jesteś z nią żonaty? - spytał z wyraźnym zdumieniem i dezaprobatą.

- Na to wygląda. Odwołuję ślub... na razie. Poleć na spotkanie z Sawyerem, a ja porozmawiam z Deną. Jakoś to rozwiążemy.

- A co z inwestycją w kurort na wyspie? - wtrąciła Sadie. - Co z panem Isogawą oraz Richardem i Leonie Carstairsami?

- Dlaczego o to pytasz? Co wiesz o Leonie? - rzekł ostro Spence i przyjrzał się Sadie nieufnie, jakby podejrzewał, że go szpieguje.

- Nic. To znaczy, niewiele - poprawiła się. - Wciąż do mnie wydzwania. Obawia się, że Richard pojedzie na to spotkanie bez niej. Zapewniłam ją, że pan Isogawa zaprasza do swojego kurortu pary małżeńskie i że będzie tam mile widziana.

Spence zacisnął szczęki, a Wilson rzucił mu niezrozumiałe ukradkowe spojrzenie.

- Dobrze - mruknął Spencer. - To tylko... zresztą nieważne - urwał i odwrócił się do Toma. - Skontaktuję się z tobą.

- A co powiesz mojej córce?

- Wyjaśnię jej wszystko.

Tom popatrzył na niego z powątpiewaniem i potrząsnął głową.

- Jeśli to zawalisz...

- Nie zawalę - zapewnił go Spencer.

Wilson jeszcze przez chwilę wpatrywał się w niego, a potem zacisnął wargi, skinął mu szorstko głową na pożegnanie i wyszedł.

W pokoju zapadła cisza. W końcu Sadie ją przerwała.

- Możemy uzyskać rozwód.

- Nie w ciągu najbliższej półgodziny.

- No tak, ale...

- Mniejsza z tym... chwilowo. Zostań tutaj, a ja pomówię z Deną - rzekł ostrym tonem i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Zachowuje się, jakby to była moja wina, pomyślała Sadie.

Postanowiła, że tym razem sama dopilnuje ich rozvodu, a potem definitywnie odejdzie i znajdzie jakąś inną pracę. Miała już dosyć Spencera. Musi wreszcie rozpocząć własne życie.

Kiedy Spence wszedł do sali sądowej, Dena nawet nie podniosła wzroku, całkowicie pochłonięta studiowaniem papierów handlowych. Była jak zwykle nieskazitelnie elegancka i opanowana. Natomiast Spencer przeciwnie - czuł się tak oszołomiony, jakby przed chwilą strzelono do niego z bliska z paralizatora.

Jest żonaty? Z Sadie? Już od czterech lat?

Wreszcie Dena skończyła przeglądać dokumenty i spojrzała na niego wyczekująco z chłodnym, powściągliwym uśmiechem.

- A więc to prawda? - spytała spokojnie.

- Najwyraźniej - odparł z wahaniem, po czym pokrótce opisał jej sytuację.

Nie wspomniał o niedoszłym ślubie z Emily - powiedział tylko, że był z Sadie w Las Vegas i pobrali się, a następnego dnia uświadomił sobie,

że popełnił błąd. Wiedział, że brzmi to idiotycznie, więc starał się przynajmniej mówić rzeczowym tonem.

- Naturalnie powinienem był przeczytać ten cholerny list, a nie zakładać, że wszystko zostało załatwione - zakończył.

Dena milczała przez chwilę.

- A więc dobrze, to będzie dla ciebie nauczka na przyszłość - powiedziała w końcu łagodnie, jakby chodziło o głupią drobną pomyłkę, a nie olbrzymią katastrofę. Następnie gładko przeszła do interesów. - Chyba obojgu nam zależy na tym, aby sfinalizować umowę z Isogawą. Wobec tego zabierz do kurortu Sadie zamiast mnie. Ostatecznie przecież jest twoją żoną.

Spencer wpatrzył się w nią, zdumiony, że przyjęła to wszystko tak spokojnie, lecz zaraz przypomniał sobie, że dla niej małżeństwo z nim to wyłącznie kwestia biznesu.

- Tak, ale...

- Co innego możesz zrobić? - rzekła trzeźwo Dena. - Isogawa i jego „szczęśliwa rodzinka” nie będą zachwyceni, jeśli zjawisz się u nich tuż po złożeniu wniosku o rozwód. Pracowałeś ciężko, aby ta umowa doszła do skutku. To okazja, jaka zdarza się tylko raz w życiu.

- Wiem - odparł szorstko.

W sprawę byli zaangażowani również trzej inni, więksi inwestorzy - między innymi Richard Carstairs - mający bogatsze doświadczenie w branży wypoczynkowej w rejonie Pacyfiku. Jednak to Spencer nawiązał wstępny kontakt z panem Isogawą i zaangażował najpoważniejsze środki finansowe. Od sukcesu tego projektu zależała cała jego biznesowa reputacja.

- Tak więc musisz doprowadzić do podpisania umowy - stwierdziła Dena bez ogródek. - Przynajmniej jesteś żonaty. Tylko to się teraz liczy.

Nagle i nieoczekiwanie w umyśle Spencera pojawiło się wspomnienie nagiej Sadie w jego ramionach. Ścisnął rękami głowę, jakby miała zaraz eksplodować.

- Źle się czujesz? - spytała Dena.

- Nie. Muszę to wszystko przemyśleć.

- Naturalnie. I podziękuj swojej szczęśliwej gwiazdce, że Sadie zdążyła na czas. Pomyśl, jak kulturalny i cnotliwy Isogawa zareagowałby na wiadomość, że jesteś bigamistą! A Leonie byłaby zachwycona. Ujrzawszy na twoim palcu ślubną obrączkę, prawdopodobnie trzymałaby się od ciebie z daleka - ale jestem pewna, że na widok dwóch odrzuciłaby wszelkie skrupuły - dodała z uśmiechem Dena. Wstała, poklepała go po policzku i ruszyła do drzwi. - Wszystko będzie dobrze. Masz żonę, której potrzebowałeś - i w dodatku zorientowaną w twoich interesach. Poradzisz sobie.

Sadie usłyszała, jak Spence na korytarzu ryczał jej imię. Kusilo ją, żeby pozostać w toalecie dla pań, ale postanowiła stawić czoło sytuacji i omówić z nim postępowanie rozwodowe. Prawdopodobnie zdążył już nawet wypełnić stosowne formularze.

W gruncie rzeczy nic się nie zmieniło. Nie byli przecież prawdziwą miłującą się parą małżeńską. Wprawdzie ona wciąż jeszcze go kochała, lecz wiedziała, że musi zwalczyć to uczucie. Powinna była odejść już wiele lat temu.

No cóż, lepiej późno niż wcale, pomyślała, wychodząc na korytarz.

Spencer stał odwrócony plecami, wystukiwał wściekle numer w komórce i warczał:

- Cholera, Sadie! Gdzie jesteś, do diabła?
- Tuż za tobą - powiedziała. Odwrócił się gwałtownie. -

Rozmawiałaś z Deną? Bardzo się zdenerwowała?

- Ani trochę - odparł, wzruszając ramionami, jednak w jego głosie zabrzmiała nuta irytacji.

Czyżby jednak nie traktował tego małżeństwa wyłącznie w kategoriach biznesu? - przemknęło Sadie przez głowę. Lubiła Denę i ubolewała, że tak bezceremonialnie zakłóciła jej ślub.

- To dobrze. Nie chciałam jej zranić.
- Jej? A co ze mną? - rzekł z wyrzutem Spencer.
- Dla ciebie to tylko kwestia interesów.
- Moje interesy również mogą na tym ucierpieć.
- Jak to? - spytała, przechylając głowę na bok. - Czy może liczyłeś, że dostaniesz od teścia w prezencie ślubnym wysepkę na Karaibach?

- Do cholery, wiesz dobrze, że nie! - zawołał z niekłamanym oburzeniem.

Sadie pożałowała swych podłych słów. Spencerowi Tyackowi nic w życiu nie przyszło łatwo. Nikt nigdy nie dał mu niczego za darmo i Spence szczyił się tym, że zdobył wszystko własną pracą.

- Przepraszam - powiedziała szczerze. - Wiem, że to dla ciebie trudna sytuacja. Uzyskamy rozwód najszybciej jak to możliwe, a potem będziesz mógł poślubić Denę.

- Nie, ponieważ rozwód nie spodobałby się panu Isogawie. W tych sprawach jest bardzo staroświecki i wierzy w świętość i niewzruszoność instytucji małżeństwa.

- Wbrew pozorom ja również - wymamrotała Sadie.

- W takim razie nie powinnaś się była zgodzić na nasz ślub - rzucił ostro.

Owszem, miał rację - lecz teraz było już za późno na samooskarżenia.

- Dobrze - rzekła. - Możemy z tym poczekać do twojego powrotu. Podpiszesz umowę. Isogawa nie musi się o niczym dowiedzieć. Niech myśli, że nadal jesteś kawalerem.

- To niemożliwe - odparł, potrząsając głową.

- Ja... - zaczął z miną, jakby chciał coś wyjaśnić, lecz potem rozejrzał się po korytarzu i zobaczył, że ludzie przyglądają się im podejrzliwie. Mocno chwycił Sadie za ramię i pociągnął ją w kierunku windy, - Nie chcę tutaj o tym rozmawiać. Weźmiemy taksówkę i pojedziemy do mnie.

Do niego? Sadie oczywiście wiedziała, że Spence ma apartament w Nowym Jorku na Upper West Side - a także na Karaibach, w Grecji i Hiszpanii - lecz nigdy tam nie była.

- Zabierasz mnie do siebie? - spytała zaskoczona.

- A gdzieżby indziej-odburknął szorstko-skoro jesteś moją żoną.

Rzucił lekko słowa „moja żona”, lecz zaakceptowanie tego faktu przychodziło mu znacznie trudniej. W istocie wydawało się wręcz niemożliwe.

Jego „żona” siedziała obok na tylnym siedzeniu taksówki, możliwie jak najdalej od niego, i wyglądała przez okno, udając całkowicie

pochłoniętą widokiem Eight Avenue. To było do niej niepodobne. Zazwyczaj żywo z nim rozmawiała, spierała się, dyskutowała. Teraz jednak zachowywała kamienne milczenie.

Zastanawiał się, o czym ona myśli - choć, z drugiej strony, być może lepiej, że tego nie wiedział.

Zdawał sobie sprawę, że cała ta pogmatwana sytuacja wyniknęła wyłącznie z jego winy i był zdecydowany naprawić ją, przeprowadzając rozwód. Lecz najpierw musi sfinalizować sprawę kurortu. Oboje z Sadie zbyt ciężko nad tym pracowali, by teraz ryzykować, że umowa nie dojdzie do skutku. Jednak nie był pewien, jak ma sobie z tym poradzić. Jego zazwyczaj bezbłędna intuicja w tym przypadku go zawodziła.

Pomysł Deny, aby na wyspę Nanumi zabrał ze sobą Sadie Morrissey, wydawał mu się całkowicie nierealny. Ona nigdy się na to nie zgodzi. Doskonale ją rozumiał, lecz nie potrafił znaleźć żadnego innego rozwiązania.

Był jednak pewien, że Sadie coś wymyśli. Podczas ich wspólnej pracy często się zdarzało, że występował z jakąś kontrowersyjną propozycją, a ona sprzeciwiała się i znajdowała lepsze wyjście. Liczył, że tak będzie i tym razem. Uśmiechnął się po raz pierwszy dzisiejszego dnia i rozparł się wygodniej na siedzeniu taksówki.

Całą drogę przebyli w milczeniu. Wreszcie zajechali przed kamienicę z brązowego piaskowca na Manhattanie. Spence zapłacił taksówkarzowi i wyjął bagaż Sadie. Weszli do obszernego holu.

- Mieszkam na drugim piętrze - oznajmił i puścił ją przodem.

- Nie musisz wnosić mojej walizki - rzekła. Spencer nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć.

Gdy wchodzili po schodach, widok kusząco krągłych pośladków dziewczyny przywołał wspomnienie ich wspólnej nocy. W głowie uparcie dźwięczały mu słowa „moja żona”.

Z wyjątkiem tej jednej nocy nigdy w istocie nie postrzegał Sadie jako kobiety. A teraz moment był na to mniej odpowiedni niż kiedykolwiek!

Do diabła, muszę natychmiast pozbyć się tych myśli! - postanowił twardo.

Zatrzymał się i poczekał, aż Sadie znajdzie się na następnym podeście. Obejrzała się przez ramię.

- Powiedziałam ci, że nie musisz nieść jej na górę. Jest ciężka.

Czy ona myśli, że nie jest w stanie udźwignąć jej przekłetej walizki?!

- Wszystko w porządku. Ja tylko... musiałem zawiązać sznurowadło.

Idź dalej.

Sadie uniosła z powątpiewaniem brwi, ale ruszyła po schodach, a Spence poszedł za nią w bezpiecznej odległości.

Gdy dotarli na drugie piętro, bez słowa otworzył drzwi.

- Nie przeniesiesz mnie przez próg? - spytała Sadie.

Obrzucił ją zdumionym spojrzeniem.

- A chciałybyś?

- Nie, oczywiście, że nie. - Wbiegła do mieszkania. - Ja przecież... - skrzywiła się, a potem uśmiechnęła z zakłopotaniem - nie nadaję się na twoją żonę.

Spence wszedł za nią, kopnięciem zatrzęsnał drzwi i postawił walizkę na podłodze.

- Mylisz się - powiedział. - Ponieważ najwyraźniej wciąż jesteśmy małżeństwem, w piątek jedziesz ze mną na Nanumi - jako moja żona.

ROZDZIAŁ TRZECI

Ma z nim pojechać na Nanumi jako jego żona?

Wpatrzyła się w Spencera w oszołomieniu. Czy on sugerował, że...?
Z pewnością nie mógł mieć na myśli...

Serce zabiło jej gwałtownie, gdy rozważała coś, co nigdy dotąd nie przyszło jej do głowy. Czyżby Spence w końcu ujrzał w niej kobietę i zamierzał kontynuować ich „małżeństwo”?

Stanął przed nią.

- W tej chwili jesteś moją żoną, a Isogawa ceni małżeńskie związki. Wszystko się więc doskonale składa, prawda? Pojedziesz ze mną - powiedział z uśmiechem, w nadziei, że ona zaprotestuje i znajdzie jakieś lepsze rozwiązanie.

Sadie nagle pojęła, że Spencerowi wcale nie zależy na ich małżeństwie. Chodzi mu tylko o biznes i, jak często czynił, chce sprowokować ją do konstruktywnego sporu.

Właśnie w ten sposób współpracowali. Spencer występował z jakąś ekstrawagancką ideą i czekał na jej reakcję.

A Sadie zawsze korzystała z okazji. Uwielbiała się z nim spierać. To ją podniecało, upajało – oraz dawało poczucie współuczestnictwa w jego decyzjach, gdyż Spence pod wpływem argumentów często zmieniał zdanie i przychylił się do jej opinii. Teraz jednak uśmiechnęła się przekornie i rzekła:

- Zgoda.

W pokoju zapadła martwa cisza. Osłupiały Spencer wlepił w nią wzrok.

- Jak to? Zgadzasz się? - wykrztusił.

- Owszem - odparła spokojnie.

- No tak - wyjąkał. - To przecież jedyne sensowne rozwiązanie.

Sadie skinęła głową.

- Właśnie.

W rzeczywistości uważała, że jedynym sensownym rozwiązaniem byłoby natychmiast uciec stąd, gdzie pieprz rośnie. Nie przywykła, by Spence spoglądał na nią takim ostrym, surowym wzrokiem. Lecz w przeszłości nazbyt często łagodniała, pokorniała i wycofywała się potulnie. Pora z tym skończyć - dla dobra ich obojga.

- Tak - rzekła stanowczo. - Zgadzam się.

- Dlaczego? - zapytał.

Potrząsnęła głową. Sama jeszcze nie pojmowała w pełni swoich motywów. Wiedziała jednak, że musi mu coś odpowiedzieć.

- To tylko biznes, więc nie róbmy z tego wielkiej sprawy - powiedziała, śmiejąc się w duchu z własnej naiwności. - Pojadę z tobą na Fidżi. A potem uzyskamy rozwód - tym razem prawdziwy - i zrezygnuję z pracy u ciebie. Wyjadę do rodziców i zniknę na zawsze z twojego życia.

- Nie bądź śmieszna - zaprotestował. - To znaczy, oczywiście weźmiemy rozwód, ale nie musisz wyprowadzać się z Butte.

- Owszem, muszę.

Nie zniosłaby ponownie po rozwodzie ze Spencerem Tyackiem powrotu do roli szefowej jego biura. Była wystarczająco głupia, że zdecydowała się na to za pierwszym razem. Mimo wysiłków nie zdołała wyrzucić z serca uczucia do niego. I nigdy jej się to nie uda, jeśli przy nim zostanie.

Spojrzała mu w oczy, starając się zachować spokój, i powtórzyła:

- Będę twoją żoną przez tydzień - a potem odejdę.

Spencer przez długą chwilę mierzył ją gniewnym wzrokiem, wreszcie wzruszył ramionami.

- Rób, jak uważasz!

- Właśnie tak zrobię.

Sadie uznała, że podjęła słuszną decyzję. Pojedzie ze Spence'em na Nanumi jako prawowita żona i spędzi z nim tydzień, o jakim zawsze marzyła. A potem odejdzie. Będzie to dla niej wstrząs, który być może zdopinguje ją do tego, by zaczęła wreszcie żyć własnym życiem.

Spencer nie wydawał się w pełni przekonany do tego pomysłu, lecz Sadie nie zamierzała dłużej się z nim spierać.

- Jestem brudna i zmęczona. Nie spałam przez całą noc. Muszę wziąć prysznic.

Spence spojrzał na nią zaskoczony.

- Jak to? Tutaj?

- A gdzie? Masz tu chyba wannę i bieżącą wodę? - spytała kpiąco.

- Owszem - rzekł i wskazał jej głową drzwi łazienki.

- Dziękuję - odparła spokojnie, zadowolona, że ma ze sobą czyste ubrania. - Od wczorajszego wieczoru jestem w drodze. Samolot lądował awaryjnie w Detroit z powodu kłopotów z instalacją elektryczną i naprawa trwała pięć godzin. Pomyśl tylko, gdyby się rozbił, zostałbyś wdowcem, co rozwiązałoby wszystkie problemy.

- Nie wygłupiaj się - rzucił ostro. Wzruszyła ramionami. Bardzo się starała w tej sytuacji nie wygłupić. Wyjęła z walizki płócienne spodnie, koszulkę i świeżą bieliznę. Gdy ruszyła do łazienki, spostrzegła, że

Spencer stoi nieruchomo i wpatruje się uporczywie w ubrania, które trzymała w ręku. Dopiero gdy zdał sobie sprawę, że zagradza jej drogę, odstąpił na bok.

- Uwinę się raz, dwa - powiedziała, mijając go.

- Nie śpiesz się - wymamrotał. - Przyniosę nam coś do jedzenia.

- Świetnie - rzekła z fałszywym entuzjazmem, choć była pewna, że nie przełknęłaby ani kęsa.

Z uśmiechem weszła do łazienki, a Spence został ze wzrokiem wbitym w zamknięte drzwi.

Sadie nosi jedwabną bieliznę! Brzoskwiniowe majteczki i skąpy koronkowy biustonosz wyglądały jak z katalogu wytwornego sklepu w Hollywood. Takich rzeczy z pewnością nie można kupić w Butte!

Spence nagle wyobraził sobie, jak ona by w nich wyglądała, i odetchnął głęboko.

Dawno temu, gdy Sadie była jeszcze nastolatką, Spence, odwiedzając Danny'ego, zauważył, że kształty jego siostry kusząco się zaokrągliły. Później nieraz, leżąc w łóżku, wyobrażał ją sobie nagą.

Gdy pewnego razu wspomniał o tym Danny'emu, przyjaciel zareagował z niespotykaną gwałtownością. Zrzucił go z barowego stołka, a potem przypadł do niego, dysząc ciężko, i ostrzegł:

- Nawet o tym nie myśl! Ona jest porządną dziewczyną i kiedyś wyjdzie za mąż - ale nie za takiego jak ty. Więc trzymaj się od niej z daleka, zrozumiałeś?!

Spence zrozumiał. Wiedział, że Danny ma rację. Sadie jest wspaniałą dziewczyną i zasługuje na to, aby poślubić dobrego, uczciwego człowieka. Najlepszego na świecie.

Bóg wie, że on taki nie jest! Pochodzi z rozbitej rodziny, ma na sumieniu rozmaite ciemne sprawy i nie nadawałby się na męża Sadie Morrissey.

Toteż traktował ją z szacunkiem i trzymał się od niej na dystans. Lecz nadal podziwiał jej urodę, z której Sadie najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy. Nie obnosiła się ze swoimi wdziękami i nie próbowała na chłopcach kobiecych sztuczek. Przeciwnie, w miarę jak piękniała, stawała się coraz bardziej cicha i skromna. Zarazem zaczęła odnosić się do niego obojętnie, niemal niechętnie.

Spencer doszedł do wniosku, że widocznie Sadie przestała go lubić i uznała, że nie jest godzien jej uwagi. Postanowił więc również dłużej nie zaprzętać nią sobie głowy.

Lecz pewnego zimowego popołudnia, gdy w kuchni Morrisseyów opowiadał Danny'emu o kłopotach z prowadzeniem dokumentacji swojej firmy, Sadie weszła, posłuchała przez chwilę i rzuciła:

- To głupstwo. Po prostu posegreguj wszystkie dokumenty.
- Zrobiłbym to, gdybym potrafił wymyślić jakiś system - odparł

Spence.

- Ja ci go opracuję - rzekła beztrasko.
- Wątpię - parsknął.
- Udowodnię ci - powiedziała.

I następnego dnia zjawiała się przy jego ciężarówce.

- Więc gdzie masz biuro? - spytała.
- Tam - odparł, wskazując głową naczepę mieszkalną.

Zamrugnęła, wybałuszyła na niego oczy, ale potem wzruszyła ramionami.

- Świetnie. Pokaż mi - rzekła, a kiedy się zawahał, zawstydzony panującym tam bałaganem, dodała kpiąco: - Boisz się, że dokonam czegoś, czego ty nie potrafisz?

Na takie wyzwanie oczywiście wpuścił ją do środka, gdzie na śpiworze i materacu piętrzyły się stosy papierów - notatek, świstków, kwitów, wyciągów i kontraktów handlowych.

- Nadal sądzisz, że zdołasz je posegregować?

- Zejdź mi z drogi - powiedziała i odsunęła go na bok. - I zostaw mnie tu samą.

Wyszedł na dwór, aby pobiegać i fizycznym wysiłkiem odegnąć myśli o kuszących kształtach Sadie. Kiedy wrócił wieczorem zmęczony, ujrzał z ulgą znajomy bałagan. Papiery nadal leżały w stertach - choć nieco odmiennych.

Ponieważ nazajutrz rano wyjeżdżał do Los Angeles na tygodniowe seminarium poświęcone zagadnieniom handlowym, rzekł do Sadie:

- Dziękuję, że próbowałaś mi pomóc, ale jak widzisz, to nie takie proste, jak ci się wydawało. Daj sobie z tym spokój.

Lecz Sadie potrząsnęła głową.

- Jeszcze nie skończyłam - oświadczyła. - Daj mi klucz od ciężarówki.

Niechętnie wręczył jej klucz, a kiedy wrócił po tygodniu, zastał naczepę czysto wysprzątaną. Były w niej tylko materac, śpiwór oraz cztery pudła kartotekowe. Sadie wskazała je ręką.

- Są tam wszystkie papiery - posegregowane i poukładane we właściwym porządku. Jeśli chcesz, wyjaśnię ci zasadę tego systemu.

Lecz na seminarium Spencer nauczył się jednego - zalety zlecania zadań innym. Toteż natychmiast zatrudnił u siebie Sadie.

Przychodziła do niego każdego popołudnia po lekcjach i zmuszała go, by razem z nią przeglądał dokumenty. Często się z nim spierała. Mimo swoich zaledwie szesnastu lat miała wyrobione poglądy na wiele spraw i zadawała pytania, które Spencerowi nigdy nie przyszły do głowy.

Dopiero znacznie później pojął, że Sadie nie tylko jest geniuszem organizacji, lecz także posiada wrodzony zmysł do interesów, znakomicie uzupełniający jego własne zdolności w tej dziedzinie - i poczuł ogromną satysfakcję, że dziewczyna u niego pracuje.

Jednak była nie tylko wspaniałą pracownicą, również piękną kobietą. Z tym ostatnim mógł sobie poradzić dzięki temu, że od dawna wypraktykował metodę szufladkowania swego życia.

Niegdyś, aby móc przetrwać, umieścił rodziców w osobnej mentalnej szufladzie i w ten sposób odizolował się od ich gniewu, goryczy i klęsk. Podobnie teraz stworzył w umyśle dla Sadie szufladę, w której zatrząskiwał wszystkie zmysłowe pragnienia, jakie w nim budziła. To działało aż do nocy, w której porzuciła go Emily. Wówczas, w tym najtrudniejszym momencie jego życia, Sadie znalazła się przy nim - łagodna, serdeczna, troskliwa.

Kochająca.

Spencer bardzo niewiele wiedział o miłości i znał ją jedynie z teorii. Ale tamtej nocy potrzebował uczucia i serdeczności Sadie —i nie potrafił się oprzeć tej przemożnej potrzebie.

Tak więc poprosił dziewczynę, by za niego wyszła. Poprosił? Prawdę mówiąc, raczej wymusił to na niej. Przez lata bronił się przed Sadie. Lecz tej jednej krótkiej nocy jej uległ.

Poślubił Sadie i kochał się z nią, odbierając jej niewinność. I oczywiście, ujrzawszy nazajutrz rano jej piękną uśpioną twarz, pojął, że postąpił podle.

Toteż zrobił to, co uważał za słuszne. Rozwiódł się z nią - a raczej, jak się okazało, usiłował się rozwieść - a potem wepchnął wszystkie intymne wspomnienia z owej namiętnej nocy z powrotem do szuflady i mocno ją zatrzaskał. Przez następne cztery lata ani razu nie pozwolił sobie na rozmyślanie o wielkich zielonych oczach Sadie, jej złocistej cerze, długich nogach czy pełnych, kuszących ustach. Nie wspominał też nigdy tamtej nocy, kiedy się z nią kochał.

Ale w tej chwili był przekonany, że nie przetrwa tygodnia w Nanumi, dzieląc z nią pokój, jeśli już teraz nie może oderwać wzroku od jej bielizny.

Wiedział bowiem, że przynajmniej formalnie ma prawo do Sadie jako swej prawowitej żony.

Szuflada, w której umieścił Sadie Morrissey, nie tylko się otworzyła, lecz pękła na drobne kawałki. A jego uwolniona z uwięzi wyobraźnia szalała.

- Weź się w garść - mruknął do siebie wściekle.
- Na miłość boską, to tylko interes.

Lecz jego umysł i, co ważniejsze, ciało wciąż przypominały mu, że Sadie jest obecnie jego żoną.

Tylko przez tydzień, powiedział sobie. Do czasu podpisania umowy w sprawie kurortu. Postanowił, że za wszelką cenę zbuduje nową szufladę i na ten okres umieści w niej Sadie.

- Do diabła! - warknął, a potem walnął w drzwi łazienki i wrzasnął: - Sadie!

Szum wody ustał.

- Co?

Zacisnął powieki, jakby to mogło powstrzymać go przed wyobrażeniem sobie jej nagiej pod prysznicem.

- Co chcesz na kolację? - zapytał.

- Zrób mi niespodziankę!- zawołała przez drzwi. Lecz Spence usiłował nie myśleć o żadnych niespodziankach. Sadie zaś dodała po chwili:

- Po prostu przynieś coś, czego nie można dostać w Butte.

Spencer stał przed drzwiami, oddychając ciężko i próbując poskładać z powrotem resztki swego strzaskanego zdrowego rozsądku.

Coś, czego nie można dostać w Butte. To nie powinno być zbyt trudne.

W każdym razie z pewnością łatwiejsze niż pozbycie się z umysłu obrazu nagiej Sadie.

Sadie pod prysznicem rozmyślała o propozycji Spence'a i usiłowała przekonać samą siebie, że może ją przyjąć, nie robiąc z siebie idiotki.

Wyszła z łazienki odświeżona i przebrana w czyste rzeczy. Czuła się lepiej, lecz zarazem była ostrożniejsza. Nie wiedziała nawet, czy zdoła przetrwać tę kolację ze Spencerem.

Zastała go w kuchni, rozkładającego na stole pojemniki.

- To birmańskie potrawy - oznajmił, nie patrząc w jej stronę, a potem wyjął z kredensu talerze i srebrne sztucce oraz rozpakował pałeczki.

- Pachną wspaniale - rzekła z uśmiechem, wciąż trochę niepewna.

- Napijesz się wina? - zaproponował, wskazując zakorkowaną butelkę.

- Nie, dziękuję. Jestem tak zmęczona, że po winie natychmiast bym usnęła. Ale ty się napij.

Jednak Spence nie otworzył butelki.

- Siadaj i pałaszuj - powiedział. - Mamy tu wołowe satay, kurczęta z curry i coś z wieprzowiny, czego nazwy nie pamiętam, a ponadto sałatkę z krewetek i jabłka zapiekane w cieście. Niczego takiego nie dostaniesz w Butte.

Mówił szybko, nakładając sobie na talerz i nadal nie patrząc na nią.

Sadie również nałożyła sobie wszystkiego po trochu, ujęła pałeczki i odetchnęła. Kolacja zdawała się przebiegać niemal... normalnie. Jak jeden z ich zwykłych biznesowych lunchów.

Tyle tylko, że wówczas zawsze rozprawiali z ożywieniem nad stertami dokumentów, kontraktów i wykresów. Natomiast ten posiłek upłynął w milczeniu wywołanym przez unoszące się w powietrzu słowo „małżeństwo”. Sadie była zdezorientowana i nie wiedziała, czego ma się spodziewać.

Kiedy skończyli jeść i sądziła, że będą mogli porozmawiać, Spence wstał szybko i zaczął sprzątać ze stołu.

- Pomogę ci - zaproponowała.

- Nie, dziękuję. Kuchnia jest za mała dla nas dwojga. - Najwyraźniej jej unikał. Odwrócony plecami, zmywając talerze w zlewie, zapytał: - Napijesz się kawy czy herbaty?

- Poproszę o herbatę - odpowiedziała, zastanawiając się, od kiedy Spence tak sobie upodobał domowe zajęcia.

Podczas gdy napełniał czajnik, podeszła do okna i wyjrzała na park, leżący na tyłach szeregu kamienic. Był rześki wiosenny wieczór. Na drzewach pojawiły się już małe listki, a w skrzynce na kwiaty u jednego z sąsiadów spostrzegła żonkile.

Pomyślała o żonkilach rosnących za jej domem w Butte, które jeszcze nie zakwitły, gdyż w Montanie wciąż było zimno. Lecz nawet zima w Montanie wydawała się cieplejsza niż atmosfera w tym pokoju.

Dobrze, pomyślała. Skoro on nie chce poruszyć tego tematu, ja to zrobię!

Podeszła do Spencera, który nalewał herbatę do filiżanek.

- Powiedziałeś, że żenisz się z Deną z powodów biznesowych. Lecz przecież mógłbyś ją poślubić kiedykolwiek, więc skąd ten pośpiech? Co takiego będzie się działo na Nanumi, że potrzebujesz tam żony?

- Sama mówiłaś, że Isogawa ceni związki małżeńskie.

- Ale nie oczekuje, że weźmiesz ślub tylko po to, żeby mu sprawić przyjemność. Więc dlaczego?

Spence popatrzył na nią gniewnie. Pomyślała, że jej nie odpowie, ale po długiej chwili odezwał się niechętnie:

- Chodzi o Leonie.

Sadie zamruwała zdziwiona.

- Leonie Carstairs? Czemu, u licha, miałbyś poślubić Dene z powodu żony Richarda?

- Och, rusz głową - rzucił niecierpliwie. - Ponieważ Leonie nie przywiązuje zbytnej wagi do bycia jego żoną!

- Co takiego? A więc... - Sadie urwała i zastanowiła się przez chwilę nad znaczeniem jego słów.

- Chcesz powiedzieć, że... Ale przez telefon zrobiła na mnie takie miłe wrażenie! Dzwoniła kilka razy. Mówiła, że Richard jest zawsze bardzo zapracowany. Wydawała się smutna, zdenerwowana i jakby niepewna, czy będzie na Nanumi mile widziana.

- Tak, jasne - mruknął ponuro Spence.

- Wyglądało na to, że martwi się, czy mąż znajdzie dla niej czas.

- Mąż? - rzucił Spencer sarkastycznym tonem.

- A któżby inny?

Nie odpowiedział, ale nagły rumieniec na jego twarzy był wystarczająco wymowny.

- Ty? - spytała wstrząśnięta. - Ona ugania się za tobą?

- Leonie Carstairs ugania się za każdym nieżonatym facetem.

- No tak... Ale czy poślubienie Dene nie jest trochę nazbyt drastycznym sposobem powstrzymania Leonie? Nie mógłbyś po prostu jej odmówić?

- Nie - odparł ponuro Spence. - Próbowałem.

- Zmarszczył brwi i przeczesał dłonią włosy. - Do cholery, robię interesy z Richardem od wielu lat. Znałem jego pierwszą żonę Margaret. Stanowili wspaniałą parę. Zmarła pięć lat temu, a dwa lata później Richard poznał Leonie. Jemu stuknęła już pięćdziesiątka, a ona jest w wieku jego

dzieci. Ale pragnął jej, więc się z nią ożenił. - Spencer zaczął chodzić niespokojnie po pokoju jak tygrys w klatce. - A potem... potem odsunął się od niej. Szczerze mówiąc, sądzę, że Leonie go przeraża. Do diabła! Mnie też przeraża. Ona flirtuje ze wszystkimi. Myślałem, że robi to, aby zwrócić na siebie jego uwagę. Lecz po tym, co zdarzyło się w Barcelonie... Umilkł i spochmurniał.

- Co się zdarzyło w Barcelonie? - spytała Sadie, starając się nie okazać zbyt ciekawości.

- W zeszłym miesiącu pojechaliśmy tam z Richardem na spotkanie biznesowe i on zabrał ze sobą żonę. Pewnego wieczoru po powrocie z zebrania zastałem ją w swoim pokoju. Za kilka peset skłoniła pokojówkę, by ją wpuściła. Uważała to za zabawne, a teraz zamierzała się jeszcze lepiej zabawić. Ze mną.

Sadie zaschło w ustach. Czy Spencer chce powiedzieć, że przespał się z Leonie Carstairs?

- Wyrzuciłem ją pomimo jej gwałtownych protestów. Mówiła, że Richard się nie dowie, a nawet gdyby się dowiedział, nie obeszłoby go to.

- Spencer ponuro potrząsnął głową. - Ale to nieprawda. Może nie poświęca jej zbyt wiele czasu, lecz uważa ją za swoją własność. Taki skandal spowodowałby zerwanie naszej biznesowej współpracy i zrujnowałby plany dotyczące kurortu. A poza tym ja nie sypiam z mężatkami.

- Naturalnie, że nie - rzekła Sadie z głębokim westchnieniem ulgi.

- Obawiam się, że na Nanumi ona spróbuje ponownie. Wiem jednak, że przed kilkoma miesiącami robiła podchody do Dana Fitzsimmonsa, ale

zrezygnowała, kiedy się ożenił. Leonie wprawdzie nie szanuje własnej obrączki ślubnej, lecz najwidoczniej nie poluje na żonatyh mężczyzn.

- I dlatego postanowiłeś poślubić Denę?

- Wydało mi się to dobrym pomysłem - rzekł szorstko. - Wbrew twoim złudzeniom na przestrzeni dziejów znacznie częściej małżeństwa zawierano z powodów ekonomicznych niż uczuciowych. Dena również tak uważa i dlatego nasz związek byłby udany. Zresztą, jeśli podpisanie kontraktu handlowego o wartości kilkuset milionów dolarów może zostać udaremnione przez jakąś idiotkę, każda metoda obrony jest uprawniona.

- I co teraz będzie?

- Teraz kolej na ciebie. Przyjedziemy na Nanumi i będziemy się zachowywać jak para małżeńska. To znaczy, przed innymi ludźmi - uściślił pośpiesznie. - Nie obawiaj się, nie oczekuję od ciebie niczego więcej.

Sadie sama się już tego domyśliła. Jednak niespodziewanie ujrzała w jego oczach zmysłowy błysk. Spence szybko odwrócił głowę i rzucił gwałtownie:

- Odwiozę cię do twojego hotelu.

- Do hotelu? - powtórzyła głupio, wciąż jeszcze oszołomiona tym, co przed chwilą zobaczyła w jego wzroku.

- Tak. Zarezerwowałem dla ciebie pokój w hotelu Plaza. - Wsadził do walizki jej brudne ubranie i zamknął ją szybko, jakby nie mógł się już doczekać, kiedy pozbędzie się Sadie. - Chodźmy.

A Sadie nie mogła przecież powiedzieć: „Chcę tu zostać”.

Ponieważ Spencer najwyraźniej sobie tego nie życzył. Nie pragnął kontynuowania ich małżeństwa. A te namiętne, desperackie słowa, które

szeptał jej owej nocy przed czterema laty, nie płynęły z głębi serca, lecz były jedynie wyrazem przelotnego nastroju.

Tak więc teraz Sadie odrzuciła wszystkie romantyczne mrzonki i powiedziała to, co należało:

- Świetnie, dziękuję. Z pewnością mi się tam spodoba.

Zadarła wysoko głowę i wyszła na korytarz. Sądziła, że Spence odprowadzi ją tylko na dół, lecz on nieoczekiwanie wsiadł razem z nią do taksówki, a gdy przyjechali do hotelu, załatwił jej formalności meldunkowe i poszedł za nią do windy.

- To nie jest konieczne - rzekła zdesperowana.

- Owszem, jest - odparł oficjalnym tonem.

Przywykła do innego Spence'a - energicznego jak żywe srebro, szczerego aż do bólu, bystrego, porywczego i aroganckiego. Lecz teraz zachowywał się układowie, uprzejmie i sztywno, jakby jedynie wypełniał przyjęty obowiązek.

To było gorsze niż bezceremonialność, z jaką zazwyczaj ją traktował. Wtedy przynajmniej czuła, że łączy ich przyjaźń. Obecnie, gdy okazało się, że nadal są małżeństwem, panowało między nimi nieznośne napięcie

W windzie milczeli, a kiedy dotarli do jej pokoju, otworzył drzwi i puścił ją przodem. Zachowywał się tak nienagannie, że miała ochotę go kopnąć.

Pokój był duży i pięknie umeblowany. Spencer umieścił jej walizkę na półce. Wychodząc, przystanął na korytarzu i uważnie przyjrzał się Sadie.

- Wszystko w porządku? - spytał. - Wiem, że to jest dla ciebie równie okropne jak dla mnie. Przepraszam za tę całą sytuację...

Odejdź już, błagała go w duchu. Chcę zostać sama.

- Nie martw się o mnie. Jutro polecę pierwszym porannym samolotem, żeby zdążyć do biura na dziewiątą.

Na jego twarzy odmalowała się ulga, jakby nie mógł się już doczekać, kiedy Sadie wyniesie się z miasta.

- Przez cały tydzień będę zajęty w Nowym Jorku i nie zdążę wrócić do Butte. Kup sobie bilet na mój lot na Fidżi. Spotkamy się na lotnisku w Los Angeles. I znajdź kogoś, kto cię zastąpi na czas naszego pobytu w kurorcie. Tylko kogoś kompetentnego, a nie jakiś ptasi mózdzek.

- Dobrze, zajmę się tym - odparła. - Dziękuję, że mnie odprowadziłeś.

Zrobił zakłopotaną minę i odchrząknął.

- Wcześniej mówiłem serio, Sadie. Nie musisz porzucać pracy u mnie.

A więc stąd ta troska o mnie, pomyślała.

- Może być tak jak przedtem - ciągnął. - Możemy po prostu powrócić do...

- Dobranoc, Spence - rzuciła szorstko i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Sadie często marzyła o spędzeniu nocy w hotelu Plaza. W dzieciństwie jako namiętna pozeraczka książek zaczytywała się powieścią „Elosie” o dziewczynce mieszkającej w tym hotelu. Wydawał się on jej wówczas bardziej odległy i niedostępny niż kratery na Księżycu. Kratery widziała z Butte, natomiast hotel Plaza mogła sobie jedynie wyobrazić.

I oto teraz znalazła się tutaj - we własnym pokoju. Podobnie jak bohaterka powieści, mogłaby skakać po łóżku albo huśtać się na przecie zasłony prysznic.

Mogła też zadzwonić do obsługi hotelowej i zamówić potrawy, jakie tylko zechce.

Spence zapewnił ją o tym. Bardzo to wielkoduszne i uprzejme z jego strony, że zarezerwował jej ten luksusowy apartament. Zachował się jak dbający o pracowników szef.

A nie jak mąż - ale przecież nie zamierza nim dla niej być.

Nie będzie się tym przejmowała, postanowiła. Powinna już dawno go zostawić.

Jednak gdy wczoraj odkryła, że nadal są małżeństwem, jej świat wywrócił się do góry nogami, a wszystkie stłumione rozpaczliwe, nieodwzajemnione uczucia powróciły ze zdwojoną siłą.

Nie mogła także pozbyć się myśli, że Spencer wbrew swym deklaracjom o wyłącznie praktycznych powodach planowanego małżeństwa zamierzał jednak spędzić z Deną noc poślubną. Jej z pewnością nie odesłałby do hotelu.

Oczywiście, nie powinna być tym zaskoczona. Ale wszystko byłoby o wiele prostsze, gdyby go nie kochała - gdyby potrafiła po prostu odejść.

Lecz przez najbliższy tydzień będzie skazana na jego towarzystwo. Siedziała w olbrzymim łożu w apartamencie hotelu Plaza i bliska łez zastanawiała się, jak, u licha, zdoła przetrwać ten tydzień jako prawowita żona Spencera Tyacka.

Spence zawsze uważał, że noc poślubna powinna być czymś wyjątkowym i niezapomnianym.

I rzeczywiście dobrze zapamiętał własną noc poślubną sprzed czterech lat - jako najbardziej zawstydzające i upokarzające doznanie w życiu! Najpierw ucieczka Emily, a potem desperacki ślub z Sadie.

A teraz ta noc! Wprawdzie nie zawarł dziś związku małżeńskiego, ale jednak niewątpliwie miał żonę!

Przez cztery lata starał się za wszelką cenę zapomnieć o tym, że trzymał Sadie w ramionach i kochał się z nią. I oto teraz wszystkie te wysiłki poszły na marne i znów opadły go wspomnienia tamtej upojnej nocy. Wszystko przez to, że zobaczył tę jej podniecającą koronkową bieliznę!

Przewracał się samotnie w łóżku, wspominając swoją noc poślubną i marząc o tym, by znów mieć przy sobie Sadie. Pragnął gładzić jej długie nogi, pieścić krągłe piersi i upajać się słodyczą jej ust.

Do diabła, nie myślał o takich rzeczach, odkąd przestał być nastolatkiem poddanym władzy szalejących hormonów. Przecież jest rozsądny i logiczny i zamierza poślubić Denę. Jego namiętnością jest praca, a nie kobiety.

Usiłował pomyśleć trzeźwo. Być może przyczyną jego nagłego zainteresowania Sadie jest to, że miał spędzić tę noc z Deną?

To wydało mu się prawdopodobne. Oczekiwał, że będzie z nią dziś uprawiał seks, i dlatego czuł się niezaspokojony.

Zaczął nerwowo krążyć po pokoju, a potem wyjrzał przez okno. Była trzecia w nocy, ale w kilku sąsiednich mieszkaniach paliły się światła. Nowy Jork nigdy nie śpi.

Lecz Sadie z pewnością spała. Przysypiała już przy kolacji. Nie odzywała się i nawet na niego nie spojrzała. To zupełnie do niej niepodobne!

Rzucił się na łóżko i wpatrzył w sufit. Potem przewrócił się na bok, walnął pięścią w poduszkę i odkopnął kołdrę. Czuł się napięty jak struna.

Seks z pewnością pomógłby mu się odprężyć i rozładować frustrację.

Gdyby była tu Dena...

Ale to nie Dena pragnął, tylko ciemnowłosej Sadie. Wyobraził sobie jej gibkie ciało...

- Do diabła! - zaklął i wyskoczył z łóżka.

Wpadł do łazienki, zrzucił szorty, wszedł pod prysznic i odkręcił kurek z zimną wodą. Lodowaty strumień ugasił żar jego zmysłów. Stał pod nim, póki nie zaczął szcząkać zębami. Wówczas wytarł się i wrócił do łóżka.

Jednak jego myśli natychmiast znów pobiegły ku Sadie! Wyobraził sobie, jak zdziera z niej ubranie i cienką koronkową bieliznę...

Na gzymsie kominka stała butelka szkockiej whisky, obiecująca pocieszenie i zapomnienie. Spencer nalał sobie szklaneczkę, a potem usiadł i wpatrzył się w nią.

Po domniemanym rozwodzie często szukał pociechy w alkoholu - dopóki pewnego poranka nie zdołał sobie przypomnieć, co robił poprzedniego dnia. Wówczas przeraził się, że matka miała rację i jest taki sam jak ojciec.

Odtąd przestał pić i jedynie w towarzystwie wypijał niekiedy kieliszek. Teraz szklanka szkockiej kusila go, ale odwrócił się od niej ze wstrętem. Opadł na fotel i usiłował się uspokoić i opanować.

Nie jest taki jak jego ojciec. Znajdzie inny sposób, aby uśmierzyć swoje cierpienie i zapomnieć o Sadie.

- Nic ci nie jest? - zapytała Martha Savas, zaglądając następnego popołudnia do gabinetu Sadie w Butte.

Martha była malarką i w swoim studiu na końcu korytarza pracowała nad kilkoma olbrzymimi paneau, które miały zawisnąć na ścianach banku, odnowionego niedawno przez firmę Spencera.

- Co? Och, nie, oczywiście, że nie - odparła Sadie z wymuszonym uśmiechem. - A dlaczego pytasz?

Martha weszła do gabinetu i usadowiła się w fotelu.

- Bo wyglądasz okropnie.

- Jestem po prostu zmęczona. Wróciłam dziś rano, a jutro znowu wyjeżdżam.

- Czyżbyś wreszcie wzięła sobie urlop?

Kusiło ją, żeby odpowiedzieć twierdząco. Ostatecznie podróż na Fidżi można by nazwać urlopem. Jednak lubiła Marthę i nie chciała jej okłamywać.

Martha poznała Spencera w samolocie lecącym z Grecji. Zapropował, by namalowała dla niego malowidło ścienne, a kiedy kilka tygodni później zjawiła się w Butte, wydawał się uszczęśliwiony.

Podczas pierwszego spotkania z Sadie Martha spostrzegła jej zazdrosne spojrzenie i roześmiała się.

- Nie bój się, Spence mnie nie interesuje. Nie odbiorę ci go.

Sadie wpadła w popłoch, zorientowawszy się, że jej uczucie jest dla wszystkich tak oczywiste. Wówczas Martha uśmiechnęła się współczująco i potrząsnęła głową.

- Zauważyłam, ponieważ czuję to samo - ale do innego mężczyzny.

Później okazało się, że miała na myśli Thea, który obecnie był jej mężem.

Tak więc teraz Sadie odpowiedziała jej:

- To nie urlop. Ja... jadę ze Spence'em na tydzień do tego kurortu na Nanumi.

Oczy Marthy rozbłysły radośnie.

- Hurra! A więc w końcu się w tobie zakochał! Była tak szczerze uradowana, że Sadie z przykrością pomyślała o tym, że musi zepsuć jej wesoły nastrój.

- Nie, on mnie nie kocha. Chodzi wyłącznie o interesy. Zabiera mnie tam, ponieważ... potrzebuje żony.

Natychmiast pożałowała tego wyznania, lecz było już za późno. Martha spojrziała na nią zdumiona.

- Zwariowałaś, Sadie? Chcesz pozwolić temu przekłętemu krętaczowi, żeby przedstawił cię jako swoją żonę?!

- Ja naprawdę jestem jego żoną - wykrztusiła.

Martha oniemiała i popatrzyła na nią z niedowierzaniem. A potem nagle jej rysy złagodniały. Ujęła rękę przyjaciółki i uścisnęła ją współczująco.

- Od jak dawna? - spytała.

- Od czterech lat. Ale to była moja wina.

I opowiedziała pokrótce o wydarzeniach z przeszłości. Wiedziała, że Spence byłby na nią wściekły za wyjawienie, że Emily go porzuciła - lecz musiała o tym wspomnieć, żeby wytłumaczyć swoje postępowanie.

- Spytał: „Wyszłabyś za mnie, prawda?” - zakończyła. - A ja powinnam była odmówić.

- To nie takie proste - rzekła Martha. - Gdy Spence wbije sobie coś do głowy, nie można go od tego odwieść. Poza tym przecież go kochałaś.

- Ale on mnie nie kochał! - zaprotestowała Sadie. - Nie chciałaś poślubić Thea, kiedy sądziłaś, że nie darzy cię miłością.

- To co innego - odparła Martha. - Nie znałam Thea tak długo jak ty Spence'a. Sama zaproponowałam, żebyśmy ograniczyli się do upajającego seksu bez żadnych zobowiązań. - Zaczerwieniła się. - Nie patrz tak na mnie. Wiem, że byłam szalona. W każdym razie on się zgodził, więc uznałam, że chodzi mu tylko o erotyczną przygodę. Toteż kiedy się dowiedział, że jestem w ciąży, i zaproponował małżeństwo, sądziłam, że powoduje nim poczucie odpowiedzialności, a nie miłość.

- Ale jednak okazało się, że jest w tobie zakochany - stwierdziła z satysfakcją Sadie, przypominając sobie pełne determinacji zaloty Thea. - To było takie romantyczne. Upewniłaś się, że cię kocha, i wyszłaś za niego. Ze mną było inaczej. Poślubiłam Spence'a, ponieważ sądziłam...

miałam nadzieję... - Urwała i zamrugła, aby powstrzymać łzy. - Ponieważ jestem idiotką - dokończyła cicho.

- Nie, to on jest idiotą - rzekła Martha bez wahania i założyła nogę na nogę. - Więc co się potem stało?

- Zamierzał się ożenić z Deną Wilson i poprosił, żebym przywiozła mu do Nowego Jorku dokumenty rozwodowe. Ale okazało się, że wcale nie dostaliśmy rozwodu! Spence miał wyłączoną komórkę, więc nie mogłam go wcześniej zawiadomić.

- To znaczy, że powiedziałaś mu o tym dopiero podczas ślubu? - zaśmiała się Martha. - No cóż, to przynajmniej go nauczy, żeby nie wyłączać telefonu.

- Zapewne - skrzywiła się Sadie. - Weźmiemy rozwód, ale jeszcze nie teraz. On... w przyszłym tygodniu potrzebuje żony na Fidżi - w związku z interesami, które tam prowadzi.

To dla ciebie trudna sytuacja - westchnęła Martha.

- Owszem. Ale nie mam wyjścia.

- Dlaczego?

Sadie zdała sobie sprawę, że nie potrafi odpowiedzieć na tak bezpośrednio postawione pytanie. W końcu wymamrotała, że jest mu to winna.

- Nic mu nie jesteś, winna - rzuciła z oburzeniem Martha.

- Zgodziłam się go poślubić. I wciąż jestem... jego żoną - wydusiła Sadie, a potem dodała, widząc powątpiewające spojrzenie przyjaciółki: - Poradzę sobie z tym. A potem się rozwiedziemy... i odejdę.

- Och, na litość boską, co ty wygadujesz?! - zawołała Martha. - Przecież kochasz go od wielu lat! Jak mogłabyś odejść? Zamierzasz

spędzić tydzień w raju z ukochanym mężczyzną, a potem podkulić ogon i uciec? Musisz o niego walczyć!

- Jak mam to zrobić? - rzekła z westchnieniem Sadie. - Pracuję u niego tak długo, a ani razu nawet się ze mną nie umówił.

- Ale poprosił cię, żebyś za niego wyszła - powiedziała Martha. - I to nie z powodu interesów.

Sadie przypomniała sobie gorące pocałunki i pieszczoty Spence'a podczas ich nocy w apartamencie dla nowożeńców. Była wówczas oszołomiona i zachwycona - i zareagowała na nie z równym żarem, choć obawiała się, że w istocie były przeznaczone dla Emily. Kochali się namiętnie i cudownie, a kiedy potem wyczerpani leżeli spleceni ze sobą, Spence wyszeptał: „Zawsze chciałem, żebyś to była ty”.

Zastanawiała się teraz, czy mówił szczerze i czy w ogóle był świadomy, że to powiedział. W każdym razie już nigdy więcej nie powtórzył niczego podobnego.

- Czemu milczysz? - spytała Martha. - Zastanawiasz się, jak go zdobyć?

Sadie uśmiechnęła się nieśmiało i odparła:

- Może.

Do końca tygodnia Spencer nie zadzwonił do Sadie.

Dlaczego miałyby to robić? Spotka się z nią na lotnisku w Los Angeles, a potem w samolocie będą mieli wiele godzin, żeby nadrobić zaległości w pracy. Nie musi instruować jej codziennie. Sadie jest bystra i kompetentna.

I jest jego żoną!

A Spencer Tyack nie wiedział, co ma powiedzieć jej jako swojej żonie.

Gdyby poślubił Deneę, dyskutowałby z nią o pracy, przyszłych projektach oraz źródłach sfinansowania inwestycji w kurort na Nanumi.

Oczywiście z Sadie również często omawiał kwestie biznesowe. Ale nie teraz, gdy wciąż widział w wyobraźni jej brzoskwiniową jedwabną bieliznę, a wspomnienia ich wspólnej nocy nie pozwalały mu skupić się na niczym innym.

Teraz w ogóle nie potrafiłby z nią rozmawiać!

Co zresztą nie miało znaczenia, ponieważ ona także ani razu nie zadzwoniła. Nie zawiadomiła, że dotarła do Butte, nie informowała go o bieżących sprawach biurowych ani nie podała mu godziny swego przylotu do Los Angeles.

Przez cały tydzień porozumiewali się wyłącznie za pomocą poczty elektronicznej. Spencer uznał, że to o wiele bardziej praktyczne niż telefony - lecz także irytujące, gdyż na wszystkie wysyłane tą drogą polecenia Sadie odpowiadała niezmiennie jednym słowem: „Załatwione”.

Gdy się spotkają, będą musieli koniecznie ustalić kilka kwestii. Ich plany się nie powiodą, jeżeli nadal będzie go ignorowała. Pan Isogawa jest bystry i nie uwierzy, że są kochającą się parą, jeśli przez cały tydzień będą na siebie warczeć albo unikać się nawzajem.

A jeśli nawet Isogawa nie zauważy rozdzwiewku między nimi, Leonie niewątpliwie go dostrzeże i wykorzysta. Spencer miał szczęście, że w Barcelonie udało mu się usunąć ją z pokoju bez wiedzy jej męża - i nie chciał, by ta sytuacja się powtórzyła. Lubił Richarda i w gruncie rzeczy także Leonie, o ile nie zachowywała się jak dziwka. A miliony Richarda

Carstairsa były absolutnie niezbędne do sfinalizowania inwestycji w kurort.

Tak więc musi jasno wyłożyć Sadie, czego oczekuje od niej jako żony. I - Boże dopomóż! - będzie musiał zachowywać się jak jej mąż.

- Już jestem - odezwał się za jego plecami znajomy głos.

Spencer odwrócił się gwałtownie i ujrzał Sadie Morrissey, jak zwykle schludną, rzeczową i opanowaną. Dzięki Bogu!

A jednak na jej widok serce zabiło mu mocno, gdyż jego pierwszą myślą było: „Jaką bieliznę ona ma teraz na sobie?”.

Opanował się z wysiłkiem, ostentacyjnie spojrzął na zegarek i rzucił:

- Zjawiałaś się w ostatniej chwili.

- Miałam sporo spraw do załatwienia - rzekła tonem, który uświadomił mu, że nie jest ani trochę bardziej zachwycona tą sytuacją niż on.

- Załatwiłaś zastępstwo w biurze? - spytał.

- Oczywiście. Inaczej bym tu nie przyleciała.

- Kogo wybrałaś?

Zawahała się przez ułamek sekundy, a potem odpowiedziała:

- Grace.

- Grace?! Grace Tredinnick? - zawołał z niedowierzaniem. - Czy ty kompletnie zwariowałaś? Ona ma osiemdziesiąt lat.

- Osiemdziesiąt dwa - uściśliła Sadie wyniośle.

- Wiedziałaś, że ukończyła z wyróżnieniem Wyższą Szkołę Handlową w Butte?

- Nie. Ale to nie upoważnia jej do kierowania moją firmą o wielomilionowych obrotach!

- Musiałam znaleźć kogoś w krótkim czasie i znalazłam Grace - rzekła Sadie wyzywająco. - Zresztą w razie czego nie zostanie bez pomocy - powiedziała, a gdy Spence westchnął z ulgą, dorzuciła:

- Wybrałam też Claire i Jeremy'ego.

- Jeremy'ego?! - wrzasnął Spencer, bliski apopleksji. - Claire jeszcze ujdzie. Przynajmniej nie jest kryminalistką, chociaż ma chyba nie więcej niż piętnaście lat. Ale Jeremy?! Na litość boską, Sadie! Przecież on jest młodocianym przestępcą!

- Był - poprawiła go Sadie. - Ty oczywiście uważasz, że nikt taki nie może zejść ze złej drogi?

Obydwoje dobrze wiedzieli, że Spence w młodości dopuszczał się znacznie gorszych występków niż Jeremy.

Sporunował ją wściekłym wzrokiem.

- Ja zmazałem swoje winy.

- On również. Poza tym Theo i Martha ręczą za niego. Theo uważa, że on się świetnie spisze.

- Skąd wiesz, że nie zamorduje Grace?

- Ponieważ wysłano go do poprawczaka za malowanie graffiti na murach, a nie za zabijanie starszych pań. W ostatnim semestrze dostał celującą ocenę z księgowości. A Claire z powodzeniem studiuje handel. Wszyscy troje doskonale sobie poradzą.

Jej oczy rzucały ogniste błyski, a na policzkach wykwitły rumieńce - jak zawsze, gdy się ze sobą spierali. Spencer poczuł nagle bezmierną ulgę, ujrawszy znów dawną Sadie.

Uśmiechnął się, lecz po chwili uśmiech spelzł mu z twarzy. Ogarnęła go panika na myśl, że właśnie w tej chwili Sadie może mieć na sobie jedwabną koronkową bieliznę i że jest jego żoną!

Odetchnął głęboko i rzucił:

- No cóż, zobaczymy.

A więc to tak.

Rozwiały się wszelkie nadzieje Sadie na to, że skłoni Spence'a, by wreszcie ją zauważył i zdecydował się kontynuować ich małżeństwo.

Traktował ją dokładnie tak, jak zawsze. Wrzeszczał i kłócił się z nią - a ona odruchowo odpowiadała mu tym samym. Wiedziała oczywiście, że wybór Grace, Jeremy'ego i Claire go rozjuszy, ale naprawdę nie miała czasu znaleźć nikogo innego, skoro jechała razem z nim na Nanumi. A nie chciała zrezygnować i odejść, nie podejmując próby walki o Spence'a.

- Przepraszam - powiedziała, gdy wsiedli do samolotu i usadowili się w wygodnych fotelach przedziału klasy biznesowej,

Spencer mruknął coś, co uznała za oznakę udobruchania, a potem wyjął z teczki gruby plik papierów.

- Musimy je przejrzeć - rzekł.

- Teraz?

- Oczywiście.

A więc tyle zostało z jej planów, by odbyć z nim szczerą rozmowę od serca. Najwidoczniej według niego miała jedynie odegrać rolę małżonki.

- Doskonale - rzuciła chłodno.

Spence, jak zwykle, mówił bez przerwy. Omawiał zaległe kwestie biznesowe, zlecał jej napisanie i wysłanie rozmaitych listów oraz załatwienie mnóstwa spraw.

Podczas gdy ona przez ostatnie trzy dni próbowała przygotować się na nadchodzący tydzień i wyobrazić sobie swoje życie jako żony Spencera, on najwyraźniej nie poświęcił temu ani chwili refleksji.

- Słuchasz mnie, Sadie?

Zaczerwieniła się.

- Co? Przepraszam, ale jestem trochę zmęczona po podróży. Pójdę się odświeżyć do toalety.

Spryskała twarz wodą, a gdy wróciła, stewardesa właśnie roznosiła posiłek, po chwili zaś zaczęto wyświetlać film.

- Och, świetnie! - zawołała, zadowolona, że przez dwie godziny nie będzie musiała stawiać czoła Spencerowi.

- Obejrzyj film, a ja przez ten czas popracuję - powiedział.

Wyjął laptop i zaczął z furją walić w klawisze.

Film był dobry. Wciągnął Sadie i pozwolił zapomnieć o chaosie panującym w jej własnym życiu. Jednak w pewnej chwili zauważyła, że Spence przestał pisać i spogląda na nią posepnym wzrokiem.

- Coś się stało? - spytała.

Wzdrygnął się zaskoczony i szybko potrząsnął głową.

- Nie - rzekł szorstko i powrócił do pisania. Sadie westchnęła i przeniosła wzrok na ekran, lecz wciąż zastanawiała się, o co mu chodziło.

Kiedy film się skończył, Spence zamknął laptop.

- Musimy porozmawiać - powiedział poważnym tonem, całkiem nie w swoim stylu, a potem zawahał się, co również było do niego niepodobne. - Wiem, dlaczego za mnie wyszłaś - oznajmił w końcu.

Sadie zeszywniała w swoim wygodnym fotelu. On wie, że darzę go uczuciem? - pomyślała w panice.

- Wiesz? - wyjąkała.

Skinął głową, wciąż z kamienną powagą.

- Tak. I chcę ci powiedzieć, że to doceniam. Docenia to, że go kocham?!

- Przed chwilą uświadomiłem sobie, że zrobiłaś to dla dobra firmy - ciągnął. Wpatrzyła się w niego oszołomiona. - Po prostu usiłowałaś mi pomóc i jestem ci za to bardzo wdzięczny.

Wspaniale! Właśnie tego oczekiwała - wdzięczności!

- Wiem, jakie to wszystko było dla ciebie trudne. I nadal jest. Ale poradzimy sobie z tym, prawda?

Popatrzył na nią wyczekująco.

Co miała odpowiedzieć? Kocham cię, ty idioto?

- Mam też nadzieję, że zgodzisz się spełnić to, o co cię poproszę. Och, to nic kompromitującego - zapewnił pośpiesznie.

Sadie nie potrafiła się już powstrzymać.

- Nic kompromitującego? O co ci chodzi?! - wybuchnęła.

- Wiesz dobrze, o co mi chodzi - warknął. - Nie oczekuję, że będziesz ze mną sypiała!

- Oczywiście, że tego nie oczekujesz - mruknęła bardziej do siebie niż do niego.

Jednak Spencer usłyszał i oczy mu się zwęziły.

- Natomiast oczekuję, że będziesz się zachowywała jak moja szczęśliwa żona.

- To znaczy? - rzuciła prowokująco.

- To znaczy spróbujesz udawać, że choć trochę mnie lubisz.

- Lubię cię - odparła szczerze. - O ile nie zachowujesz się jak osioł.

- Co masz na myśli?

- Powinieneś mi zaufać, że cię nie zawiodę. Przez chwilę Spencer wyglądał na zaskoczonego, a potem nerwowo skinął głową.

- A więc dobrze. - Milczał przez moment. - Zdajesz sobie sprawę, że będziemy musieli dzielić wspólne bure? To rodzaj miejscowej chaty krytej słomą - wyjaśnił. - Są tam salon oraz sypialnia z dwoma łózkami.

Sadie poczuła się nagle znużona. Nie miała siły dłużej z nim rozmawiać. Może dlatego, że jej na nowo rozbudzone nadzieje legły w gruzach, gdy uświadomiła sobie, że Spence ma zamiar jedynie udawać, iż coś ich łączy.

- W porządku - powiedziała. - Zrobię co w mojej mocy, aby przekonać Leonie Carstairs, pana Isogawę oraz wszystkich innych, że jestem głęboko oddaną ci żoną. A teraz, jeśli już skończyłeś wyjaśniać mi moje obowiązki, chciałabym się przespać.

I nie dając mu szansy na odpowiedź, owinęła się kocem, maksymalnie odchyliła fotel, odwróciła się do Spencera plecami i zgasła swoją lampkę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Sadie przespała resztę lotu.

Spence wiedział o tym, ponieważ nie mógł zasnąć, mając ją obok siebie. Przyglądał się jej, dręczony frustracją i pożądaniem.

- Do diabła! - rzucił wreszcie przez zęby, gwałtownie odwrócił głowę i uchwycił się kurczowo poręczy fotela.

Stewardesa podeszła do niego.

- Czy coś się stało? - spytała.

- Nie, nic mi nie jest - powiedział cichym, opanowanym głosem. - Po prostu... coś sobie przypomniałem.

Przypomniał sobie, jak trzymał w ramionach nagą Sadie!

- Może coś panu podać?

- Poproszę o kawę... dużo kawy. Muszę popracować.

Praca zawsze pomagała mu przezwyciężyć zły nastrój, zapomnieć o brutalnym ojcu i jędzowatej matce.

Gdy stewardesa przyniosła kawę, wyjął laptop i otworzył plik dotyczący budynku w Sao Paulo, którego nabycie radził mu Mateus Gonsalves. Bezskutecznie usiłował się skupić i w końcu zaklął pod nosem.

Sadie westchnęła przez sen i odwróciła się do niego z lekko rozchyłonymi ustami. Ogarnęło go pragnienie, żeby je namiętnie pocałować...

Nie powinien o tym myśleć. Sadie go nie chce.

Kiedy jej oznajmił, że wie, że poślubiła go dla dobra firmy, nie powiedział całej prawdy, gdyż ta prawda była o wiele gorsza.

Sadie Morrissey wyszła za niego z litości!

Wzdrygnął się na tę myśl.

Nienawidził litości. Nie znosił, gdy w młodości nauczyciele okazywali mu współczucie. Owszem, miał trudne dzieciństwo, ale przetrwał i poradził sobie bez niczyjej pomocy.

Nie wiedział, dlaczego Sadie tak się rozzłościła, gdy ją zapewnił, że nie zamierza z nią sypiać. Zrobił to, aby ją uspokoić. Miał nadzieję, że zdoła nad sobą zapanować. Zresztą nie będą dzielili łóżka, lecz tylko wspólny domek.

Zerknął na nią i ujrzał, że jej bluzka się podwinęła, odsłaniając fragment nagiego ciała. Ogarnęła go fala pożądania. Pośpiesznie zamknął oczy, ale zaraz je otworzył, gdyż Sadie wymamrotała coś i ujęła go za ramię.

Popatrzył na nią podejrzliwie. Czyżby się obudziła i drażniła się z nim? Lecz jej oddech się nie zmienił - nadal był spokojny i miarowy.

Miała smukłe palce z krótko, praktycznie obciętymi paznokciami. Trudno byłoby się domyślić, że to dłoń kobiety noszącej seksowną koronkową bieliznę.

Spencer wstrzymał oddech i starał się nie poruszyć, choć cały płonął pod jej dotykiem - tak jak przed czterema laty. Zacisnął powieki i usiłował o tym nie myśleć. Chyba postradał zmysły, proponując jej, by towarzyszyła mu w tej podróży. Zarazem jednak był tym zachwycony!

Sadie obudził turkot tacy na kółkach ze śniadaniem. Czowała się odświeżona i pokrzepiona. Poruszyła się i przyjrzała spod przymrużonych powiek Spencerowi, który nieogolony ślęczał nad jakimiś papierami. Wyglądał na zmęczonego i wątpiła, czy tej nocy w ogóle spał.

- Wyspałaś się? - rzucił.

- Owszem - odparła. Wyjęła z torebki szczotkę do włosów, szminkę i lusterko i doprowadziła się jako tako do porządku, a potem spytała: - Przez cały czas pracowałeś?

- Miałem zaległe sprawy do załatwienia i chciałem się przygotować do rozmów z Isogawą.

- Nie martw się, wypełnię swoje zadanie - zapewniła go. - Będę... twoją żoną.

Wpatrywał się w nią przez długą chwilę. Wydało się jej, że ujrzała w jego oczach przelotny namiętny błysk.

Nie wmawiaj sobie niczego - pomyślała. - Nie łudź się, to tylko twoje fantazje i rojenia.

- W porządku - odparł i szorstko skinął głową. Stewardesa podała im tace. Po śniadaniu Spencer wyjął z aktówki małe aksamitne pudełeczko.

- Masz - rzekł i bezceremonialnie rzucił je na kolana Sadie, która podskoczyła, jakby to był granat. - Nie bój się, nie wybuchnie.

Dziewczyna w milczeniu przyjrzała się uważnie pudełeczku.

- Dalej, otwórz je - zachęcił ją Spence. - Nie możesz przecież być moją żoną bez ślubnego pierścionka.

To było takie szokujące i nieoczekiwane. Choć w gruncie rzeczy nie powinna być zaskoczona. Spencer zawsze planował wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Modliła się, aby nie zadrżały jej palce, gdy otwierała wieczko.

Wpatrzyła się z zapartym tchem w dwa pierścionki.

- Nie podobają ci się? - zapytał po krótkiej chwili Spence beznamiętnym tonem. - Nie są zbyt... tradycyjne.

Właśnie to było w nich takie zachwycające!

Widziała pierścionek, który kupił Emily - efektowny, nieco pretensjonalny brylant otoczony małymi rubinami. Ujrzała też przelotnie pierścionek zaręczynowy Deny - złotą obrączkę z pojedynczym diamentem.

- Oczywiście mogłem ci dać pierścionek Deny - rzekł Spencer. - Nie sądziłem jednak, aby...

- Nie - przerwała mu Sadie. - Te są piękniejsze.

Pierścionek zaręczynowy był cienką złotą obrączką z misternie rżniętym nefrytem, a ślubny zrobiony był z czystego nefrytu ozdobionego celtyckimi ornamentami. Spodobałyby się jej irlandzkim przodkom. Kręgi zielonego i złotego ognia - pierwotne i doskonałe...

Obydwa były tak bardzo w stylu Sadie, że wydało jej się to niesamowite. Zdumiona, popatrzyła uważnie na Spence'a.

- Poprzednim razem nie kupiłem ci żadnego - przypomniał jej.

- Wiem, ale dałeś mi ten stary pierścień z czerwonego kamienia, który odziedziczyłeś po swoim dziadku.

- Pierścień dziadka? - powtórzył zdziwiony. - Myślałem, że go zgubiłem.

- Nie. Zdjąłeś go i włożyłeś mi na palec, mówiąc, że to tylko tymczasowo, dopóki nie znajdziesz czegoś lepszego. Naprawdę nie pamiętasz?

Potrząsnął głową w oszołomieniu.

- No cóż - rzekła. - Wróciłeś dopiero po miesiącu i chyba o nim zapomniałam. Powinnam była ci go zwrócić.

W rzeczywistości jednak wcale nie zapomniała. Ceniła i uwielbiała ten pierścień. Nosila go na łańcuszku na szyi przez cały miesiąc i zdjęła

dopiero wtedy, gdy Spencer po powrocie oznajmił, że otrzymali rozwód. Wówczas schowała pierścień do szuflady nocnego stolika. Odtąd często przed snem otwierała szufladę, dotykała go i rozmyślała o tym, jak mogłoby wyglądać jej życie ze Spencerem.

- Wciąż go mam - oświadczyła, a potem dorzuciła wbrew sobie: - Mogę ci go oddać, jeśli chcesz.

- Byłbym ci wdzięczny - rzekł Spencer. - To jedyna pamiątka po dziadku. Moglibyśmy dokonać wymiany... jeżeli zechcesz -dodał szybko. - Jeśli nie podobają ci się te obrączki, kupię ci inne. Sądziłem po prostu...

- Są piękne - powiedziała żarliwie Sadie. Wyjęła ślubny pierścionek z pudełeczka i włożyła sobie na palec. - Pasuje doskonale.

- Kamień ma barwę twoich oczu - rzekł nagle Spence, jeszcze bardziej ją zadziwiając, i zaczerwienił się.

Sadie była oczarowana. Poczowała przelotną pokusę, żeby poprosić go, aby włożył jej na palec drugi pierścionek. Uznała jednak, że nie należy ponaglać Spence'a. I tak uczynił więcej, niż się spodziewała. Toteż sama wsunęła pierścionek na palec.

Podniosła wzrok i napotkała spojrzenie Spencera.

- Dziękuję ci - powiedziała. - Obydwa są przepiękne.

Odchrząknął z zakłopotaniem.

- Cieszę się, że ci się podobają. Możesz je potem zatrzymać. To znaczy, kiedy za tydzień wrócimy z Fidzi - wyjaśnił.

A więc nadal zamierzał się z nią rozwieść. Sadie nie wiedziała, co o tym myśleć.

Wiadomość o tym, że podczas ich poślubnej nocy podarował Sadie pierścień po dziadku, głęboko wstrząsnęła Spencerem. To dowodziło, jak

bardzo był wówczas otumaniony. Nie wyobrażał sobie, by mógł go oddać komukolwiek.

Ten wielki, niezgrabny pierścień z czerwonego kamienia wyrzeźbił własnoręcznie jego pradziad, kiedy jako młody człowiek przyjechał do Montany pracować w kopalni miedzi. Pierścień był ozdobiony macią perłową, wyciętą niezdarnie w kształt serca. Pradziad zamierzał podarować go swojej żonie. Był bardzo ubogi i dopiero po trzech latach zdołał zaoszczędzić dość pieniędzy, by sprowadzić rodzinę z Kornwalii do Butte.

Jednak pociągiem przyjechały tylko jego dzieci - chłopiec i dziewczynka - które ledwo rozpoznał. Ich matka zmarła podczas podróży.

Nosił więc przez całe życie ten pierścień, aby o niej pamiętać, mimo że kawałek serca odłamał się i zaginął. Przed śmiercią przekazał pierścień synowi, a ten w swoim czasie oddał go ojcu Spence'a.

Ojciec jednak nigdy go nie włożył.

- Nie lubię pierścionków - oświadczył i trzymał go w salaterce na biurku. Spence potajemnie często wkładał go sobie na palec.

Potem ojciec ich opuścił, pozostawiając pierścień. Spence przymierzał go jeszcze częściej. Gdy nieco dorósł, pierścień przestał być za luźny i już nie wydawał mu się ciężki.

Jednak pewnego dnia, kiedy miał już piętnaście lat, pierścień zniknął.

- Pozbyłam się go - oznajmiła matka. - Obrzydliwa starość, w dodatku uszkodzona. Moim zdaniem przynosił pecha - dodała, potrząsając głową.

- Gdzie on jest?! - zawołał zrozpaczony i wściekły chłopiec.

- Zniosłam wszystkie rzeczy twojego ojca do sklepu ze starzyzną - odpowiedziała.

Spencerowi zależało jedynie na pierścieniu. Pobiegnął tam natychmiast i odkupił go. To był jedyny przedmiot, który przypominał mu dziadka i szczęśliwe chwile dzieciństwa.

Zastanawiał się teraz, czemu, u licha, oddał go Sadie w tamtą noc po ich ślubie. Jednak zanim zdołał znaleźć jakąś odpowiedź, samolot zaczął już podchodzić do lądowania.

Gdy wylądowali, Sadie odetchnęła głęboko i zapytała:

- Jesteś gotowy?

Skinął głową. Miał nadzieję, że istotnie tak jest, choć w głębi duszy wciąż odczuwał niepokój.

Gdy wszyscy pasażerowie wstali i ruszyli do wyjścia, Sadie wsunęła mu coś w dłoń.

- Masz - powiedziała. - Będiesz jej potrzebował.

- Co to jest? - spytał, lecz po chwili sam poznał odpowiedź.

Ślubna obrączka. Nie oczekiwał, że Sadie również o tym pomyśli.

- Miałaś dobry pomysł - stwierdził.

Leonie ją zauważył i zrozumiał, że nie jest już wolny. A pan Isogawa dowiedział się, że oboje z Sadie są małżeństwem.

Wsunął obrączkę na palec i nagle poczuł się żonatym mężczyzną.

W samą porę, pomyślał Spencer, gdy przeszli przez odprawę celną i skierowali się ku hali odlotów do wycarterowanego samolotu.

Wszyscy inni już tam czekali. Obydwie pary z Nowej Zelandii - Steve Walker ze swą żoną Cathy oraz John i Marion Ten Eykowie - a także Richard i Leonie. Czworko Nowozelandczyków rozmawiało między sobą, a Richard jak zwykle siedział z nosem w laptopie, całkowicie

pogrążony w pracy. Natomiast Leonie, gdy tylko podniosła wzrok znad czasopisma i zobaczyła nadchodzącego Spencera, pisnęła radośnie:

- Spence, kochanie!

Ruszyła do niego z otwartymi ramionami. Spencer przygotował się do odparcia ataku, lecz w tej samej chwili Sadie ujęła go pod rękę i rzuciła beztrąsko:

- Nie przedstawiś nas sobie, najdroższy?

Najdroższy? Spencer zaniemówił z otwartymi ustami. Lecz rozpromieniona Sadie ciągnęła dalej:

- Poznaję cię po głosie, Leonie! To ja, Sadie! Przejęła uścisk przeznaczony dla Spencera i sama mocno objęła osłupiałą kobietę.

- S-Sadie? - wybełkotała Leonie, wyswobadzając się z jej objęć. - Ty jesteś Sadie? Spencera...

- Żona - dokończył gładko Spence. - Poślubiłem Sadie, a ty masz okazję jako pierwsza nam pogratulować.

Na twarzy Leonie odbiły się szok, zdumienie, konsternacja i wiele innych uczuć.

- Ale przecież... ona u ciebie pracuje - wyjąkała, wbijając wzrok w Sadie, która wytrzymała bez drgnienia jej badawcze spojrzenie.

- Tak, a raczej pracowała - odparł Spence.

- To historia jak z romansowej powieści - rzekła do niej wesoło Sadie. - No wiesz, po wielu latach szef dostrzega w swej podwładnej kobietę.

Niebieskie oczy Leonie rozszerzyły się ze zdziwienia. Uśmiechnęła się smutno.

- No cóż, gratuluję - powiedziała, a potem zawołała do męża: -
Richard! Zgadnij, z czym przyjechał Spence!

- Z kontraktami, mam nadzieję - odrzekł z roztargnieniem Richard,
nie podnosząc wzroku znad laptopa.

- Bez wątpienia, kochanie - rzuciła niecierpliwie Leonie. - Ale
przywiózł też żonę.

- Tyack ma żonę?! - zawołał Richard, gwałtownie podrywając głowę.
Odsunął komputer i podszedł szybko, obrzucając Sadie pełnym aprobaty
wzrokiem. Uścisnął jej rękę, pocałował ją w oba policzki i uśmiechnął się
do niej promiennie. - Poślubiłaś szefa, tak? Jesteś mądrą dziewczyną - i w
dodatku piękną. - Odwrócił się do Spence'a. - A ty też nie jesteś głupi. Ta
dziewczyna ma na głowie całe twoje biuro, prawda?

- Wykonuje świetną robotę - odparł sztywno Spencer, zastanawiając
się, czemu Richard wciąż trzyma jej dłoń.

Sadie uśmiechnęła się i zrećźnie uwolniła rękę.

- Staram się utrzymywać go w tym złudzeniu - rzekła żartobliwie do
Richarda.

Mężczyzna się roześmiał.

- Cieszę się z tego tygodnia na wyspie. Isogawa miał wspaniały
pomysł. Będziemy mieli mnóstwo czasu, żeby lepiej poznać się nawzajem.

Spence wpatrzył się w niego podejrzliwie. Czy Richard próbuje
flirtować z Sadie?

- Z pewnością będziemy się z wami często spotykać - powiedziała,
obejmując swym uśmiechem również Leonie. - Nie mogę się już tego
doczekać - podobnie jak poznania osobiście pozostałych - dodała, widząc
zbliżających się Ten Eyków i Walkerów.

Spencer dokonał prezentacji, ale Sadie zdawała się znać już ich wszystkich.

- Oczywiście, że się znamy - oświadczyła. - Dokonałam rezerwacji wszystkich lotów. Wielokrotnie rozmawiałam z Marion i Cathy przez telefon.

- Naprawdę? - spytał Spence, nieco speszony i oszołomiony, podczas gdy jego żona gawędziła już swobodnie ze wszystkimi, niczym ze starymi przyjaciółmi.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pan Isogawa czekał na nabrzeżu na ich hydroplan.

Był wytwornym mężczyzną dobiegającym siedemdziesiątki, miał siwe włosy i szczeciniasty wąsik i wyglądał dokładnie tak, jak Spencer go sobie wyobrażał - jak człowiek surowy, pryncypialny i wymagający.

Skłonił się i uściśnął dłoń Spence'a, po czym rzekł:

- Chodźmy do domku letniego. Moja żona nie może się już doczekać poznania was. Dobrze, że zjawiliście się tu wszyscy. Nanumi to miejsce stworzone dla rodzin.

Uklonił się ponownie i polecił grupie milczących i uśmiechniętych służących, by zanieśli bagaże gości do ich kwater. Potem poprowadził przybyłych drewnianym chodnikiem.

Letni domek okazał się niskim, krytym słomą pawilonem z drewna i szkła, utrzymanym w miejscowym stylu. Stał nad półkolistą zatoką, harmonijnie wtopiony w przepiękny krajobraz tej rajskiej wysepki na Pacyfiku. Spence usłyszał, że obok niego Sadie westchnęła z podziwu.

Dena z pewnością nie zwróciłaby w ogóle uwagi na otoczenie. Lecz Sadie była olśniona i zachwycona wyspą, kurortem i pomieszczeniem, do którego weszli - przestronnym pokojem o wysokim suficie i szklanej ścianie z widokiem na zatokę. Był tam bar z bambusowym kontuarem, niskie stoły oraz stojące wokół nich fotele i krzesła z obiciami w barwne polinezyjskie wzory.

- Usiądźmy - zaproponował pan Isogawa, wskazując je gestem. - A teraz przedstaw nas sobie, Spencer-san.

Podczas prezentacji Japończyk kłaniał się z uśmiechem i ścisnął dłonie gości. Wreszcie Spence ujął za rękę Sadie i rzekł:

- Chciałbym, abyś poznał moją żonę. To jest Sadie. Konwencjonalna uprzejmość Isogawy ulotniła się w jednej chwili, zastąpiona przez szczerą radość. Mężczyzna popatrzył na Spence'a, a potem szybko przeniósł spojrzenie na dziewczynę.

- Sadie! - zawołał. - Więc wyszłaś za niego! Uśmiechnęła się nieśmiało i odparła:

- Tak.

Pan Isogawa klasnął w ręce i uśmiechnął się serdecznie. Ukłonił się Sadie o wiele głębiej niż pozostałym, a potem ujął jej dłonie i przemówił do niej szybko. Po japońsku!

Spence gapił się na niego zdumiony.

- Ona nie potrafi... - zaczął.

Lecz najwyraźniej potrafiła, ponieważ odpowiedziała w tym samym języku.

- Od kiedy mówisz po japońsku? - zapytał Spencer.

Sadie skończyła zdanie skierowane do Isogawy i dopiero potem odpowiedziała z lekkim wzruszeniem ramion:

- Moją współlokatorką na Uniwersytecie w Los Angeles była Amerykanka pochodzenia japońskiego, Tammy Nakamura. To ona mnie nauczyła. Kiedy rozpocząłeś negocjacje handlowe z panem Isogawą, wypróbowałam moje umiejętności podczas telefonicznych rozmów z nim. Uważa, że jestem bardzo zdolna - dodała z uśmiechem.

Isogawa z zapałem pokiwał głową.

- Sadie ciężko pracuje. Jest bardzo inteligentna i piękna - powiedział, nie puszczając jej dłoni.

Co takiego mężczyźni widzą w jej dłoniach? - zastanowił się Spencer.

W tym momencie pan Isogawa powiedział coś do Sadie w swoim języku. Dziewczyna zarumieniła się i uniosła lewą rękę, a Japończyk przyjrzał się uważnie obrączkom na jej palcach.

Spencer poczuł lekki dreszcz niepokoju. To były zwykłe nefrytowe pierścionki, wytwory sztuki ludowej, niezbyt cenne ani piękne. Nagle pożałował, że nie ofiarował jej obrączki z brylantem, przeznaczonej dla Deny.

Lecz pan Isogawa uśmiechnął się - tym razem ten uśmiech objął, również jego oczy i zdawał się wypływać z głębi duszy - i rzekł do Sadie:

- *Sono yubiwa, o 'suki desuha?*

- Czy mi się podobają? - przetłumaczyła i energicznie kiwnęła głową. - Och, tak! To znaczy *hai*.

Uśmiech na pomarszczonej twarzy Isogawy się pogłębił.

- Mnie także - powiedział Japończyk i spojrzał uważnie na Spence'a.
- Widzę, że dobrze wybrałaś.

Spencer wcale nie był pewien, czy te słowa dotyczyły tylko obrączek.

Isogawa odwrócił się do kobiety mniej więcej w jego wieku, ubranej we wzorzysty sarong, która kryła się w cieniu w kącie pokoju.

- Moja żona Toshiko - rzekł.

Następnie kolejno przedstawił jej wszystkich zebranych. Kiedy doszedł do Sadie, obydwie kobiety rozpromieniły się i po złożeniu stosownych ukłonów zaczęły gawędzić jak stare dobre przyjaciółki.

- Widzę, że znasz również panią Isogawa - stwierdził zdziwiony Spence.

- Poznałyśmy się przez telefon - zaśmiała się Sadie. - Ona się uczy angielskiego, więc zaofiarowałam jej pomoc. Uczymy się razem, prawda? - zwróciła się do niej powoli i wyraźnie.

- Sadie to dobra nauczycielka - odparła pani Isogawa. - Bardzo bystra.

- Właśnie widzę - mruknął Spencer. Pracował nad podpisaniem tej umowy, zajmując się jednocześnie innymi inwestycjami na całym świecie. Wysyłał Sadie instrukcje i zadania, pozostawiając jej ich realizację. Aż do tej pory uważał, że główną przyczyną postępów w sprawie kurortu na Nanumi była jego bezbłędna intuicja. Teraz jednak uświadomił sobie, że pan Isogawa zgodził się rozważyć propozycję bandy zachodnich biznesmenów w o wiele większym stopniu dzięki gorliwym staraniom Sadie i nawiązanym przez nią przyjacielskim kontaktom niż dzięki temu, że on sam okazał się błyskotliwym strategiem i zebrał grupę odpowiednich inwestorów.

Pan Isogawa przemówił teraz szybko do żony i jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Jesteście małżeństwem? - spytała.

- Owszem - odparła Sadie.

- To nowożeńcy - rzekła przeciągle Leonie. - Jakież to słodkie.

- W podróży poślubnej - dodał Japończyk.

- No, niezupełnie - zaproponowała Sadie.

Lecz pan Isogawa wiedział swoje. Kazał podać szampana, a gdy wszyscy goście trzymali już napełnione kieliszki, powiedział coś do młodego służącego, który skinął głową i szybko wyszedł.

- A teraz wnieśmy toast za waszą pomyślność - rzekł do Spencera i Sadie, po czym życzył im długiego życia, bogactwa, szczęścia i mnóstwa dzieci.

Pozostali przyłączyli się do tych życzeń. Po toaście Sadie wdała się z panem Isogawą w rozmowę o urządzeniu i wyposażeniu kurortu.

- Wykorzystaliśmy dzieła miejscowych artystów - oznajmił - a także tutejsze materiały i tkaniny. Staramy się zaoferować naszym gościom wszystko co najlepsze z tego pięknego zakątka świata. - Zerknął na służącego, który właśnie powrócił, po czym rzekł do gości: - A teraz, jeśli nie macie nic przeciwko temu, Jale zaprowadzi was do waszych bure. Nie wiedzieliśmy, że przywieziesz świeżo poślubioną małżonkę - zwrócił się do Spence'a. - Przygotujemy dla was coś specjalnego. Przed waszym przyjazdem

Toshiko i ja przenieśliśmy się do chaty dla nowożeńców, ponieważ jest niewielka i zapewnia intymny nastrój. Nie wiedzieliśmy, że będziemy gościć prawdziwych nowożeńców w podróży poślubnej. Tak więc zamienimy się z wami.

- My nie... - zaczął Spence.

- To nie jest konieczne - rzuciła pośpiesznie Sadie.

Pan Isogawa uciszył ich oboje uniesieniem ręki.

- Owszem, jest. *Shinkon-san ni, tekishite imasu*. Spencer popatrzył wyczekująco na Sadie.

- On mówi, że tak należy - przetłumaczyła szybko. - Chce, abyśmy tam zamieszkali, ponieważ to odpowiednie miejsce dla nowożeńców.

- Ale my nie jesteśmy w podróży poślubnej - zaprotestował Spencer.

- Przyjechaliśmy tu w interesach. Mamy uzgodnić kwestię zainwestowania w tutejszy kurort.

- A jaka jest idea tego kurortu? - zapytał z prostotą pan Isogawa.

Zakłopotany Spence potrząsnął głową.

- Nie rozumiem.

- Przeznaczyliśmy ten kurort dla par, dla rodzin - wyjaśnił Isogawa. - Pragniemy, aby przyjeżdżały tutaj przypomnieć sobie, co w życiu jest najważniejsze. Właśnie to oznacza nazwa Nanumi. Tak, oczywiście, że ubijemy interes. Ale interes jest tylko drobną częścią życia. Najmniej istotną częścią. Rozumiesz?

Jego ciemne oczy zdawały się wwiercać w głąb duszy Spencera.

- No... tak.

Spence pojął przynajmniej zasadniczą koncepcję. Jego własna rodzina była zawieszona w próżni. Pierścień z czerwonego kamienia, który dał Sadie, symbolizował jego jedyne doświadczenie rodzinnych więzi - miłość, jaką darzył go dziadek. Lecz ojciec zlekceważył ten symbol i nie chciał nosić pierścienia, a matka potem go wyrzuciła.

Natomiast Sadie przyjęła propozycję Isogawy z zachwyconym uśmiechem, jakby naprawdę była żoną Spencera.

- Dobrze - zgodził się Spence. - Ale powtarzam, że jesteśmy tutaj przede wszystkim z powodu interesów.

- O interesach porozmawiamy później - rzekł Japończyk z lekkim ukłonem. - Teraz po prostu zacznij się cieszyć małżeństwem ze swą piękną żoną.

Domek dla nowożeńców stanowił skrzyżowanie siedziby „Robinsona szwajcarskiego” z projektami z magazynu „Nowoczesna Panna Młoda”.

Sadie stanęła w drzwiach i rozejrzała się z zachwytem. Wszystkie mijane przez nich bungalowy i bure wyglądały pięknie, lecz ten był wyjątkowy.

Wyspiarską chatę o słomianym dachu umieszczono w rozwidleniu olbrzymiego drzewa, tak że zdawała się unosić między jego konarami. Dwanaście schodków prowadziło do krytego liśćmi ganku, na którym łagodnie kołysał się hamak. Wnętrze - z podłogą z miejscowego twardego drewna pokrytą matami kiao i naturalnym prysznicem wodospadu osłoniętym bambusowymi ściankami - było eleganckie i przestronne. Na ścianach wisiały zasłony z barwnych tkanin, a umeblowanie stanowiły: olbrzymie łóżce, lekki wiklinowy stół i krzesła stojące przy oknie, z którego rozpościerał się widok na rajską plażę, oraz dwa wyściełane fotele kauri. Całość robiła wrażenie egzotyczne, a zarazem swojskie i przytulne, i przewyższała wszelkie marzenia Sadie.

- Mam nadzieję, że będziecie tu bardzo szczęśliwi - powiedział młody służący Jale, po czym skłonił się im lekko i wyszedł.

Oboje zostali sami w bure dla nowożeńców, posiadającym jeden pokój... i jedno łóżko.

- Czyż tu nie jest miło? - spytała wreszcie Sadie, gdyż Spence uparcie milczał.

- Będziemy musieli dzielić ze sobą łóżko - rzucił opryskliwie i zaczął niespokojnie krążyć po pokoju.

- Nie mogę spać w hamaku. Isogawa by to zauważył. Nie możemy ryzykować.

- Wiem - rzekła. - Pozostanę po mojej stronie. Obiecuję, że nie będę cię napastować.

- Nie o to mi chodzi - rzekł szorstkim tonem.

- Przyrzekłem ci, że będą dwa łóżka.

„Przyrzekłeś też, że przez całe życie będziesz mnie kochał, szanował i otaczał opieką” - pomyślała Sadie, ale nie powiedziała tego głośno.

- Nie przeszkodzi ci to? - spytał.

- Jakoś przeżyję - odparła. - A ty?

- Oczywiście! Wszystko pójdzie jak z płatka - powiedział Spence, lecz przez cały czas trzymał się możliwie jak najdalej od łóżka.

Sadie starała się tego nie zauważać. Zrzuciła sandały i stanęła boso na chłodnej drewnianej podłodze.

- Może popływamy w morzu? - zaproponowała. Spence zerknął na łóżko.

- Świetny pomysł - powiedział. - Przebierz się pierwsza. Ja... Och, do diabła, zostawiłem w letnim domku moją aktówkę. Pójdę ją przynieść.

- Chyba nie zamierzasz zostać tam i pracować?

- Skądże! - Ruszył do wyjścia, ale przystanął na ganku i odwrócił się do niej. - Dziękuję. Nigdy dotąd nie uświadamiałem sobie, ile ci zawdzięczam. Teraz wiem, że wszystkie sprawy związane z podpisaniem tej umowy przebiegają na razie gładko dzięki przyjacielskim stosunkom,

jakie nawiązałaś z państwem Isogawą, Walkerami, Ten Eykami, a nawet Richardem i Leonie.

- Sprawilo mi to przyjemność - odparła szczerze Sadie. - Oni wszyscy są bardzo interesującymi ludźmi.

- Owszem. Ale chcę, byś wiedziała, że doceniam to, co robisz.

Zawahał się, jakby chciał dodać coś jeszcze, lecz ostatecznie odwrócił się i szybko wyszedł z chaty.

Sadie przyglądała mu się, dopóki nie zniknął wśród palm, a potem z westchnieniem padła na łóżko. A więc Spence zauważył, że nawiązała kontakty z wszystkimi osobami zaangażowanymi w zawarcie umowy. Docenia jej starania i jest jej wdzięczny! Prawdopodobnie sądzi nawet, że zrobiła to wszystko wyłącznie dla dobra firmy.

Czasami Spencer Tyack jest niewiarygodnie głupi, pomyślała. I niewykluczone, że w trakcie tego tygodnia będę miała ochotę go zamordować. Ale - uśmiechnęła się do siebie - ponieważ przywiózł mnie do prawdziwego raj, więc równie dobrze mogę najpierw popływać.

Sadie, John i Marion pływali w ciepłej, spokojnej, przejrzystej wodzie, niczym we wspaniałej turkusowej wannie.

Spencer się nie zjawiał.

- Pewnie pracuje - rzuciła Marion.

- Cholerny głupiec - stwierdził John.

Sadie zastanawiała się, czy Spence celowo jej unika. Przez godzinę na przemian pływała i wylegiwała się na plaży, lecz on nadal się nie pojawił.

- Prawdopodobnie dopadł go Richard i wciągnął w dyskusję o jakichś długofalowych projektach - zawyrokował John. - Jest jeszcze większym praco-holikiem niż Spence.

Richard? A może po drodze dopadła go Leonie? Raptem Sadie doszła do wniosku, że musi to sprawdzić.

- Pójdę go poszukać - oświadczyła.

- Złap go za ucho i przyprowadź tutaj - poradziła Marion.

Sadie owinęła się w biodrach ręcznikiem i ruszyła ścieżką w kierunku chaty. Zobaczyła, że drzwi są otwarte. A więc nie ma z nim Leonie.

- Spence! Jeśli pan Isogawa się dowie, że pracujesz zamiast....

Urwała. Jej prawowity mąż spał na łóżku, lekko pochrapując.

- Spence - powtórzyła cicho, aby się upewnić, że nie udaje.

Nie poruszył się.

Nic dziwnego, że usnął, pomyślała. Pracował przez całą noc w samolocie, a miał już za sobą długi lot z Nowego Jorku do Los Angeles. Ma prawo być zmęczony.

Pochyliła się nad łóżkiem i napawała widokiem śpiącego Spence'a.

Wyglądał inaczej niż zazwyczaj, spokojniej. Jego twarz miała łagodniejszy, bardziej odprężony wyraz.

Sadie zapragnęła pogłodzić go po policzku i musiała użyć całej siły woli, aby się przed tym powstrzymać.

Przypominał teraz trochę chłopca, jakim był dawniej - a także mężczyznę, którego poślubiła przed czterema laty.

Tamtej nocy kochali się namiętnie, desperacko, niecierpliwie, a potem Spence wymamrotał: „To zawsze powinnaś być ty”. Niemal

natychmiast usnął, a ona przyglądała mu się, zadziwiona obrotem, jaki przybrało nagle jej życie. Długo nie mogła zasnąć z obawy, że gdy się obudzi, wszystko to okaże się jedynie snem.

A gdy rano otworzyła oczy, rzeczywistość zmieniła się w koszmar.

Teraz znów patrzyła na tego śpiącego mężczyznę i walczyła z pokusą, by położyć się obok i przytulić do niego.

„No dalej - usłyszała w głowie głos Marthy. - Na co czekasz?”

Lecz Sadie nie usłuchała. Odważyła się jedynie delikatnie musnąć jego potargane włosy.

- Kocham cię - wyszeptała.

To była szczerza prawda - mimo że Sadie wiedziała, że jej uczucie zapewne nigdy nie zostanie odwzajemnione.

Spence uśmiechnął się przez sen.

W łazience ich bure była zwykła wanna, w której Sadie mogłaby się wykapać przez nikogo nie niepokojona. Lecz za przesuwanymi szklanymi drzwiami znajdowało się osłonięte bambusowymi ściankami patio, a w nim niewielki skalny wodospad.

Mogła się oprzeć pragnieniu, by położyć się na łóżku obok męża, ale widok tego naturalnego prysznica stanowił zbyt silną pokusę. Spojrzała na Spence'a. Spał kamiennym snem. Uznała więc, że może zaryzykować. Wzięła z łazienki ręcznik oraz różowy frotowy szlafrok, przeszła na palcach przez sypialnię i cicho odsunęła drzwi.

Spencer przewrócił się na drugi bok, lecz jego oddech wciąż był równy i spokojny.

Sadie omiotła wzrokiem łóżko i doszła do wniosku, że jest wystarczająco szerokie, by po wzięciu prysznic mogła ułożyć się po drugiej stronie i chwilę zdrzemnąć.

Wyszła na patio i zasunęła za sobą drzwi. Rozejrzała się niepewnie, zrzuciła kostium kąpielowy i wstąpiła do skalnej sadzawki pod prysznic wodospadu.

Poczuła się jak w siódmym niebie. Odchyliła głowę do tyłu. Ciepła woda łagodnie omywała jej ciało. Dziewczyna wzięła ze skalnej półki tubę ananasowego szamponu. Wycisnęła trochę na dłoń i wtarła we włosy, a potem spłukała je i przyglądała się, jak piana spływa na jej ramiona i piersi.

Znowu weszła pod prysznic, który zmył z niej pianę. Powiała lekka morską bryza, poruszając liśćmi pobliskich drzew. Z odległej plaży dochodziły rozbawione głosy. Steve, Cathy i Leonie dołączyli do Marion i Johna i teraz wszyscy zaśmiewali się wesoło. Jakie to dziwne, pomyślała Sadie. Mogę ich słyszeć tak wyraźnie, podczas gdy oni mnie nie widzą.

Ale czy aby na pewno nie widzą?

Wyciągnęła szyję, wyjrzała ponad ścianką patio i upewniła się, że jest ukryta przed ich wzrokiem.

Nikt jej nie widział.

Nikt oprócz Spence'a.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Spencer śnił o tym, że rozbiera Sadie i pokrywa pocałunkami jej twarz. Był to wyrazisty, sugestywny sen. Kiedy rozpinał stanik dziewczyny, usłyszał trzask haftki.

Trzask haftki?

Poderwał głowę i otworzył oczy w momencie, gdy Sadie z cichym trzaśnięciem zasunęła drzwi do wewnętrznego patio ze skalnym prysznicem. Po chwili przez ich szklaną tafłę ujrzał coś, co podnieciło go o wiele mocniej niż poprzednie senne marzenia i fantazje. Sadie Morrissey powiesiła na haczyku ręcznik i szlafrok, zerknęła szybko na drzwi, zrzuciła kostium kąpielowy i stanęła naga pod strumieniem wody.

Spencerowi zaschło w ustach. Wpatrywał się bez mrugnięcia w jej piękne brzoskwiniowe ciało.

Jego własne ciało, już wcześniej pobudzone przez erotyczne sny, natychmiast zareagowało na ten widok. Jęknął cicho i ze świstem wciągnął powietrze. Zacisnął powieki, a potem uchylił je nieco, mając mimo wszystko nadzieję, że uległ jedynie złudzeniu, wywołanemu zmęczeniem podróżą, stresem i przepracowaniem.

Lecz dziewczyna wciąż tam była. Stała w płytkiej skalnej sadzawce, a jej mokra naga skóra lśniła w promieniach słońca.

Spencer pomyślał, że mógłby dołączyć do Sadie. Ostatecznie przecież ona jest jego legalną żoną. Mógłby wskoczyć z łóżka, zrzucić ubranie, wejść pod prysznic i gładzić jej pokryte pianą ciało. Mógłby całować jej usta, szyję, piersi, pepek, a potem podążać jeszcze niżej...

Zacisnął szczęki i odwrócił się na bok, a jego ciało krzyczało w niemym proteście, że odmawia mu się tego, czego tak bardzo pragnie.

Dlaczego nie miałby tego zrobić - a nawet czegoś więcej?

Czy Sadie by go odepchnęła? Konieczność dzielenia z nim łóżka zbytnio jej nie zirytowała.

Czyżby w gruncie rzeczy chciała, aby się z nią kochał?

Przecież cię poślubiła, podszeptęło jego ciało.

Tak, ale uczyniła to pod presją, odparował umysł. Widziała, że jesteś zdesperowany i nie potrafiła odmówić. Wyszła za ciebie z litości!

Bo jaki inny mogłaby mieć powód? Znała jego rozbitą, patologiczną rodzinę, widziała, jak dorastał w biedzie jako młodociany przestępca i niewątpliwie uważała go za kiepskiego kandydata na męża.

Spencer doskonale zdawał sobie sprawę, że Sadie Morrissey zasługuje na kogoś o wiele lepszego niż on.

Tak więc nie wolno mu oddawać się fantastycznym, nierealnym mrzonkom. Musi się skupić wyłącznie na kwestiach zawodowych.

Co oznacza, że teraz powinien natychmiast stąd wyjść!

Spencer dobrze znał słabość ludzkiej natury - szczególnie swej własnej - i wiedział, że wszystkie, nawet najtwardsze postanowienia mogą zawieść w obliczu zbyt silnej pokusy.

Sadie wyszła spod strumienia wody, wytarła się i owinęła w różowy płaszcz kąpielowy. Przeczesała palcami włosy, żeby nie wyglądać jak strach na wróble, odetchnęła głęboko i odsunęła drzwi możliwie jak najciszej, mając nadzieję, że Spence nie zajął całego łóżka.

Lecz jego tam nie było! Pokój zionął pustką.

Z mocno bijącym sercem pobiegła do łazienki, ale tam też nie znalazła Spencera. Wyszła na frontowy taras i nawet rzuciła okiem na plażę, która jednak już opustoszała. Słysząc było tylko plusk fal omywających brzeg i cichy szelest palmowych liści, poruszanych lekką bryzą.

Spence się ulotnił.

Ale dokąd? I dlaczego?

Jego ubranie wisiało w szafie, brakowało tylko spodenek kąpielowych. Czy obudził się i postanowił pójść na plażę, żeby jej poszukać?

Ale przecież musiał zobaczyć ją pod prysznicem. Naga!

Sadie zaczerwieniła się, gdy to sobie uświadomiła. Niewątpliwie ją widział. Będąc pod prysznicem, nie można było niczego dostrzec przez szklane drzwi, gdyż odbijały się w nich promienie słońca - ale z sypialni całe patio było widoczne jak na dłoni!

Spencer nie mógł jej nie zauważyć.

Dziewczyna oblała się jeszcze gorętszym rumieńcem - lecz teraz już nie z zakłopotania, lecz z dojmującego poczucia upokorzenia.

A więc Spencer zobaczył ją naga, po czym natychmiast odwrócił wzrok i uciekł od niej!

Zapagnęła umrzeć ze wstydu. Zrozpaczona zastanawiała się, jak zdoła przetrwać cały tydzień w jednym domu - wręcz w jednym łóżku! - z mężczyzną, który nie może znieść nawet jej widoku.

A ona roiała sobie, że ich małżeństwo mogłoby się przekształcić w prawdziwy związek! Śmiechu warte! Jak mogła być aż tak beznadziejnie głupia i naiwna?!

Późnym popołudniem rozległo się głośnie bicie bębnow, wzywające gości na kolację.

Sadie wiedziała, że musi pójść do sali jadalnej. To część jej zadania.

Przez ostatnie dwie godziny płakała gorzko, skulona w wiklinowym fotelu. Powtarzała sobie, że to głupie i bezsensowne, ale nie mogła powstrzymać łez.

Nie miała pojęcia, gdzie jest Spencer - gdzie się zaszył, uciekając przed widokiem jej nagości. Lecz była pewna, że wkrótce się zjawi, oczekując od niej odegrania roli kochającej żony. Tego właśnie spodziewał się po nich pan Isogawa.

Ogarnęła ją wściekłość. Otarła łzy i starannie nałożyła na twarz odrobinę makijażu. Oczy miała wciąż czerwone od płaczu, lecz zamierzała wytłumaczyć to wpływem słonej morskiej wody.

Wyjęła z szafy letnią sukienkę na ramiączka w jaskrawe pomarańczowe i czerwone wzory, którą Martha pożyczyła jej w przeddzień wyjazdu.

„Theo uważa ją za bardzo seksowną - oznajmiła i z uśmiechem uniosła znacząco brwi. - Może Spence też będzie tego zdania”.

Teraz Sadie włożyła ją i postanowiła, że spędzi ten tydzień możliwie najprzyjemniej. Do diabła ze Spencerem!

Gdy zjawiała się w jadalni, pan Isogawa wstał szybko od stolika, przy którym siedziała jego żona oraz małżeństwo Ten Eyków, i podszedł do Sadie. zaproponował, aby do nich dołączyła, a potem zapytał:

- Dobrze się bawisz?

- Tak, dziękuję. *Arigato* - powtórzyła po japońsku. - Cudownie spędziłam czas. Zdażyłam już popływać w morzu, a nasze bure na drzewie jest wspaniałe. Skalny prysznic to fantastyczny pomysł.

Widocznie zabrzmiała przekonująco, gdyż Isogawa uśmiechnął się promiennie i spytał:

- A Spencer też się dobrze bawił? Gdzie on się podziewa?

- Zasnął - oznajmiła Sadie szczerze. - W samolocie przez cały czas pracował, więc teraz zmorzył go sen. Poszłam na plażę bez niego. Kiedy się obudził, zapewne postanowił zwiedzić wyspę na własną rękę.

Była to prawda - choć może niecała. Pan Isogawa kiwnął głową.

- Ciekaw jestem, czy mu się spodobała. Dowiedzieli się tego po kilku minutach, gdy

Spence się zjawił. Okazało się, że odkrył ścieżkę biegnącą wśród zarośli na szczyt wzgórza, skąd rozciąga się zachwycający widok na niemal całą wyspę.

- Niesamowite. Wprost zapiera dech w piersi - opowiadał z ożywieniem.

Wyglądał piekielnie przystojnie w spodniach khaki i błękitnej koszulce polo o odcieniu jego oczu. Był wypoczęty, spokojny i zrelaksowany.

Sadie poczuła, że go nienawidzi, lecz mimo to postanowiła odegrać jak najlepiej swoją rolę, toteż spytała sztucznie wesołym tonem:

- A więc miło spędziłeś czas?

- Tak - przyświadczył z zapałem. - Wybacz, że nie poszedłem z tobą popływać, ale byłem zmęczony i zdrzemnąłem się, a gdy się obudziłem i zszedłem na plażę, aby do ciebie dołączyć, już cię tam nie znalazłem.

Owszem, gdyż stałam naga pod prysznicem. Mogłeś tam do mnie dołączyć - pomyślała Sadie, lecz oczywiście nie powiedziała tego głośno. Posłała mu tylko uśmiech, mając nadzieję, że wypadł naturalnie.

- Jutro zabiorę cię na to wzgórze - oświadczył Spence. - Jestem pewien, że ci się spodoba.

Otoczył ją ramieniem. Sadie zeszywniała, oburzona jego udawaną czułością. Miała ochotę go kopnąć, ale wiedziała, że ich kłótnia nie tylko udaremniłaby podpisanie umowy z panem Isogawą, lecz także wprowadziłaby w zakłopotanie wszystkich obecnych. Toteż ponownie się uśmiechnęła i ucałowała Spence'a w policzek.

Mężczyzna drgnął, zaskoczony. Po chwili w jego oczach błysnęła przekora. Nieoczekiwanie pochylił się nad Sadie i z uśmiechem pocałował ją w usta.

Spiorunowała go wściekłym wzrokiem, lecz po chwili spostrzegła, że żona Richarda Carstairsa przygląda się im uważnie i pojęła, że ten pocałunek Spencera miał być po prostu sygnałem dla Leonie, by trzymała się od niego z daleka.

- Chodźmy, pora na kolację - rzekł Isogawa. Ujął żonę pod ramię i poprowadził ją do jadalni, a Spencer uczynił to samo z Sadie.

Znacznie później, po wspaniałej kolacji - która upłynęła na uprzejmych rozmowach i nawiązywaniu bliższych, mniej oficjalnych kontaktów - Spence otworzył drzwi ich bure i rzekł żywo:

- No, wszystko poszło dobrze.

- Tak sądzisz? - rzuciła ironicznie Sadie, wciąż zaszokowana naturalnością, z jaką przychodziło mu uprawianie hipokryzji.

Gdy weszła do środka, odniosła wrażenie, że ich jeszcze niedawno tak wielkie łóżce skurczyło się do rozmiaru znaczka pocztowego. A zapadła już noc i nie można było wyjść z sypialni pod pretekstem kąpieli morskiej czy spaceru.

- A ty nie? - spytał Spence. - Wszyscy dobrze się bawili, kurort jest cudowny, jedzenie wyśmienite, a Leonie zostawiła mnie w spokoju. Isogawa to miły gość i najwyraźniej uważa cię za uroczą. Ja zresztą też - dodał wesoło.

- Dlaczego? Bo odstraszyłam Leonie? Bo twój wspaniały plan się powiódł? Rzeczywiście, wszystko idzie wręcz świetnie! - rzuciła z furją. Spencer zmarszczył brwi.

- Co ci się stało? Dlaczego tak się wściekasz?

- Wcale się nie wściekam - rzekła, wzruszając ramionami.

- Przecież widzę. Chodzi ci o dzisiejsze popołudnie, tak?

- Co masz na myśli?

- Do cholery, chyba widzisz, że staram się, jak mogę - warknął. -

Dobrze, w porządku, przepraszam. Ale nie jestem ślepy, Sadie. Skoro nie zaciągnęłaś zasłon, nic nie mogłem na to poradzić, że cię zobaczyłem.

Lecz przecież natychmiast wyszedłem, prawda?

Sadie ze zdumienia otworzyła usta. A więc on sądzi, iż jest wściekła dlatego, że ujrzał ją nagą, a nie dlatego, że zaraz potem uciekł ze wstrętem. W osłupieniu potrząsnęła głową, usiłując się w tym wszystkim połapać, i w końcu zapytała głupio:

- To z tego powodu wyszedłeś?

- A co, chciałaś, żebym się na ciebie gapił? - rzucił kpiąco.

- Oczywiście, że nie. Wróciłam z plaży i nie potrafiłam się oprzeć pokusie, by wziąć ten naturalny prysznic. A ty przecież spałeś! Bądź pewien, że nie próbowałam cię uwieść!

- Zauważyłem - rzekł bezbarwnym tonem. - Ale wyglądałaś tak ponętnie... Wiedziałem, że nie zdołam nad sobą zapanować, więc wyszedłem.

- Ponętnie? - powtórzyła. - Uważasz, że jestem...? - urwała i wlepiła w niego zdumiony wzrok.

- Jesteś pociągająca jak diabli, Sadie Morrissey - rzucił Spence. - Wyglądałaś cudownie pod prysznicem, a ja niewątpliwie nie zadowolilibym się jedynie patrzeniem na ciebie. Zapragnąłbym czegoś więcej - a tego nie było w naszej umowie. Dlatego wyszedłem z pokoju. Nic lepszego nie mogłem wówczas zrobić.

- Naprawdę nic? - wyrwało się Sadie.

Ich spojrzenia się spotkały i przepłynął pomiędzy nimi elektryczny prąd. Dziewczynę zalała fala frustracji i nieodpartego, dojmującego pożądania - ale nie miała pojęcia, czy Spence czuje to samo.

Zacisnął zęby.

- Nie kuś mnie, Sadie. Małe dziewczynki bawiące się zapalkami mogą się poparzyć.

Miała wrażenie, że uwolniła się nagle od wszystkich lęków i zahamowań. Serce jej waliło.

- Czy to obietnica? - spytała prowokująco.

- Przestań! - rzucił ostro Spence. - Chodźmy spać. Przecież już cię przeprosiłem za to, że mamy tu tylko jedno łóżko!

- Mnie to nie przeszkadza - oświadczyła śmiało. Zignorował jej słowa.

- Pójdę się przejść po plaży, a ty w tym czasie się przebierz. Gdy skończysz, mignij światłem.

Powiedziawszy to, otworzył drzwi i wyszedł w mrok.

Stał na dworze, wpatrując się w nocne niebo i powtarzając sobie, że wszystko pójdzie gładko. Oboje z Sadie przetrwali ten pierwszy wieczór i dobrze odegrali swoje role. Owszem, zdarzyło się kilka trudnych momentów, ale jakoś sobie poradził. Przeprosił ją za to, co się stało po południu - choć nie było w tym jego winy - a potem wyszedł, zanim mogłaby błędnie zinterpretować jego słowa.

Miał nadzieję, że gdy wróci do sypialni, dziewczyna będzie już spała. Dzień był wyczerpujący, a ona od dawna nie miała chwili odpoczynku.

Modlił się w duchu, żeby Sadie istotnie była zmęczona. On sam odczuwał znużenie, gdyż przed kolacją celowo przeszedł kilkanaście kilometrów. Wątpił, by na wyspie pozostały jakieś szlaki, których jeszcze nie przemierzył. Wiedział, że jedynie doprowadziwszy się do krańcowego zmęczenia, będzie mógł zasnąć, leżąc obok Sadie Morrissey.

Tak więc z pewnością zdoła nad sobą zapanować. Przecież nie jest już napalonym nastolatkiem!

Światło w oknie ich bure zamigotało i nagle pewność go opuściła.

Uspokój się, rzekł do siebie stanowczo. Wszystko będzie dobrze. Daj jej jeszcze pięć minut, a uśnie jak dziecko.

Czekał, usiłując nie myśleć o nagiej Sadie, leżącej pod kołdrą w ich wspólnym łóżku. W końcu wszedł po schodkach i otworzył drzwi.

Sadie wcale nie leżała pod kołdrą! Siedziała na łóżku w cienkiej i kusej nocnej koszulce. Na jego widok uśmiechnęła się i przeciągnęła leniwie.

- Powiedziałem ci, żebyś poszła spać - rzucił z furią Spencer. - Co ty wyprawiasz?

- Ja coś wyprawiam? - powtórzyła niewinnie.

Nie dał się na to nabrać.

- Próbujesz mnie kusić - powiedział oburzony.

- I co, udało się? - spytała z lekkim uśmiechem.

- Do diabła, Sadie! Naprawdę o to ci chodzi?! - zawołał.

Zawahała się przez chwilę, a potem spytała z szelmowskim uśmiechem:

- A jak myślisz?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wydało mu się, że się przesłyszał. Lecz po chwili objął ją mocno, przygarnął do siebie i przywarł spragnionymi wargami do jej ust.

Pocałował ją, a ona odwzajemniła pocałunek.

Odniosła wrażenie, że po długiej podróży powróciła wreszcie do domu. Czuła się jak tamtej nocy przed czterema laty - a zarazem zupełnie inaczej. Wtedy całowali się niecierpliwie, gorączkowo i niepewnie. Teraz wszystko było tak, jak w jej najskrytszych marzeniach. Spence, całując ją, powierzał jej całego siebie. Mówił bez słów, że należy tylko do niej.

Ona duszą należała oczywiście do niego, odkąd sięgała pamięcią. Jednak aż do tej chwili obawiała się, że oddaje się bez reszty mężczyźnie, który - z wyjątkiem jednej krótkiej nocy - oczekuje od niej jedynie zwykłej przyjaźni oraz ciężkiej biurowej pracy.

Ale teraz z jego pocałunku i lekkiego drżenia rąk poznała, że jej obawy były płonne. Pojęła, że Spence pragnie jej równie mocno jak ona jego.

- Sadie - szepnął.

Jego dłonie dotykały jej i pieściły, przyprawiając o rozkoszne drżenie.

Zamruczała cicho, ściągnęła mu koszulę przez głowę i pogładziła jego szerokie, muskularne plecy. Lecz była niecierpliwa i chciała więcej. Sięgnęła do klamry jego paska, ale to też trwało zbyt długo.

- Brak mi doświadczenia - wymamrotała. Spence pomógł jej rozpiąć pasek. Szybko zrzucił spodnie i resztę ubrania i ukazał się Sadie w swej wspaniałej nagości.

Przywarła ustami do jego twarzy, a potem szyi, ramion i piersi. Oddychał teraz szybko i płytko. Przez jego rozpaloną skórę wyczuwała dłonią serce bijące w szaleńczym rytmie.

- Sadie, umieram... - jęknął. Cofnęła się, przestraszona.

- Nie bój się. Umieram z miłości do ciebie - zaśmiał się.

Nie wierzyła mu ani na jotę, ale jednocześnie uwielbiała go za te słowa.

- Naprawdę? - spytała.

- A jak myślisz? - rzekł, kładąc się obok niej.

- Och - westchnęła z uśmiechem.

Całował jej usta i policzki, a potem ściągnął z niej nocną koszulkę i odrzucił na bok. Lecz Sadie nie chciała tylko biernie czekać. Z żarem oddała pocałunek i także zaczęła go pieścić.

- To naprawdę jesteś ty, Sadie.

Znów zaczął ją całować, a jego dłonie docierały wszędzie, poznając i ucząc się jej kusząco pełnych kształtów i sekretnych zakamarków ciała. Sadie jęczała cicho i wiała się pod jego dotykiem, lecz sama również pieściła go namiętnie. Przed czterema laty była tak zaskoczona i oszołomiona nagłym obrotem wydarzeń i niespodziewanym ślubem, że podczas ich miłosnej nocy jedynie oddała się Spence'owi. Teraz pragnęła czegoś więcej i była o wiele bardziej aktywna. Dotykała go, głaskała, całowała i gryzła.

Spencer oddychał coraz szybciej, a serce waliło mu mocno.

- Sadie, poczekaj... - rzucił.

- Nie! Pragnę ciebie...

- Ja... też... cię pragnę... - wydyszał. - Ale muszę... - nie dokończył i zerwał się z łóżka.

- Co takiego? - spytała i spojrzała na niego oszołomiona.

Po chwili znalazł w walizce to, czego szukał. Ochrona. Sadie chciała mu powiedzieć, że jej nie potrzebują - że z radością zaszłaby z nim w ciążę w tym cudownym rajskim miejscu. Lecz on był już gotowy. Położył się na niej i rozsunął jej nogi, wnikając do tajemnego centrum jej kobiecości.

A Sadie przyjęła go w siebie.

Tak długo na to czekała. Czasami traciła już nadzieję, że kiedykolwiek jeszcze przeżyje takie zaspokojenie i spełnienie, jak przed czterema laty. W istocie nieraz myślała, że tamta noc tylko jej się przyśniła.

Lecz teraz doświadczała ponownie owych uczuć i rozpoznawała je. A potem zniknęło wszystko oprócz oślepiającej kulminacji namiętności, gdy w końcu oboje stopili się w jedno.

Spencer wiedział, że jest jej winien jeszcze więcej, ale w tej chwili czuł się tak osłabły i wyczerpany, że ledwie mógł się poruszyć.

Sadie również leżała nieruchomo, choć serce waliło mocno w jej piersi.

- To było... cudowne - jęknęła bez tchu, objęła go za szyję i mocno pocałowała w usta.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- A więc uważasz to za dobre? - rzucił. - Pokażę ci, co znaczy naprawdę dobre.

- Teraz?

- Za kilka minut. Co ty na to? - Sądzę, że za kilka minut zdołam to jakoś znieść - odrzekła żartobliwie po krótkim namyśle.

- To świetnie - powiedział, zanurzył palce w jej włosach i pocałował ją w czoło.

Wciąż ledwo mógł uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Lękał się, że za chwilę się obudzi i stwierdzi, że to tylko sen.

Lecz to nie był sen! Noc mijała, a oni kochali się bez końca. Spence postanowił pokazać Sadie wszystkie erotyczne pozycje, jakie potrafił wymyślić. O świcie czuł się kompletnie wyczerpany. Ale nie dbał o to.

Spóźnili się na śniadanie i weszli do jadalni, gdy reszta gości skończyła już jeść i siedziała nad filiżankami kawy lub herbaty. Oboje byli zapatrzeni w siebie i promienieli ze szczęścia. Spędzili ze sobą najcudowniejszą - choć bezsenną - noc, a o świcie poszli popływać w morzu.

To był pomysł Spencera.

- Chcesz teraz pływać? - spytała Sadie, wpatrując się w niego z niedowierzaniem. - Jestem tak słaba i wyczerpana, że na pewno utonę.

- Chodź - powiedział, chwycił ją za rękę i wyciągnął z łóżka. - Zobaczysz, że będzie cudownie.

I rzeczywiście było. W porównaniu z rześkim porannym powietrzem woda wydawała się niemal ciepła. Baraszkowali w niej, całowali się... i kochali.

Potem leżeli na wodzie i patrzyli, jak słońce wstaje znad oceanu. Sadie opierała się plecami o pierś Spence'a, a on obejmował ją mocno.

Gdy niebo zmieniło barwę z granatowej na oszałamiającą mieszaninę fioletów, czerwieni i oranżów, po czym stało się bladożółte, a w końcu

jaskrawo-błękitne - wrócili z plaży do swego bure na drzewie i wzięli razem prysznic pod wodospadem, gdzie Spencer widział Sadie poprzedniego dnia.

Dziewczyna nie mogła wprost uwierzyć, że to było zaledwie kilkanaście godzin temu - że od tego czasu jej życie aż tak bardzo się zmieniło. Chociaż bolały ją wszystkie mięśnie, upajała się swym szczęściem i nie potrafiła powstrzymać głupiego radosnego uśmiechu.

Spencer, mimo że nieogolony i z oczami przekrwionymi ze zmęczenia i niewyspania, wyglądał na równie zachwyconego, gdy oboje wkroczyli objęci do jadalni.

Sadie była przekonana, że każdemu wystarczy rzucić na nich okiem, by domyślić się, co robili w nocy. Gdy pan Isogawa zapytał uprzejmie, czy dobrze spali, odpowiedziała z uszczęśliwionym uśmiechem:

- Spędziliśmy wspaniałą noc.

- Jestem tego pewna - rzekła z zazdrością Leonie. Richard puścił mimo uszu tę uwagę, ale Marion odezwała się dyplomatycznie:

- Tu istotnie jest zachwycająco. Łagodny klimat, spokój... i te cudowne fale.

Czyżby widziała nas na plaży? - zastanowiła się Sadie, oblewając się rumieńcem. Cathy zaprowadziła ich do stolika.

- Siadajcie i zjedzcie śniadanie. Jest wspaniałe - świeże owoce, jajka, francuskie grzanki i co tylko jeszcze zapagniecie. Strasznie się objedliśmy. Podczas gdy mężczyźni będą omawiać sprawy zawodowe, Marion i ja zamierzamy wybrać się na spacer. Pójdziecie z nami? - spytała, spoglądając na Sadie i Leonie.

- Ja nie - rzuciła pośpiesznie Leonie. - Jale zrobi mi masaż - dodała z dwuznacznym uśmieszkiem.

Jale był tym imponująco zbudowanym młodzieńcem, który poprzedniego dnia zaprowadził ich do bure - i najwidoczniej potrafił nie tylko dźwigać bagaże.

Sadie zerknęła na Richarda, aby się przekonać, jak na to zareaguje. Lecz on chyba w ogóle nie usłyszał Leonie. Był pogrążony w rozmowie z Johnem i nie zwracał uwagi na żonę.

- Bardzo bym chciała - powiedziała Sadie - ale nie jestem tu wyłącznie w podróży poślubnej. Mam również do wypełnienia obowiązki i muszę uczestniczyć w zebraniach.

Wprawdzie Spencer nie wymagał tego od niej, ale pragnęła patrzeć na niego przez cały dzień - także podczas pracy.

W nocy nie mieli zbyt wiele czasu na rozmowy, lecz odważyła się powiedzieć mu, że go kocha. Spence przygarnął ją do siebie i pocałował namiętnie, potem zajrzał jej głęboko w oczy i odpowiedział:

- Ja też cię kocham.

Zamrugwała zaskoczona, a po chwili zalala ją fala radości. Spencer Tyack był powściągliwym człowiekiem, który dzięki swemu urokowi łatwo pozyskiwał sobie ludzi. Toteż miał wielu przyjaciół, lecz dotąd żadnej kobiety nie obdarzył miłością.

A jednak powiedział, że ją kocha. Była pewna, że później w sypialni ponownie jej tego dowiedzie. Póki co, sporządzając notatki, będzie mogła mu się przyglądać i obmyślać, co zrobią, kiedy wreszcie znajdą się sami.

Myśl o tym ponownie sprowadziła na jej twarz błogi uśmiech.

- Ach, ci nowożeńcy! - rzuciła ze śmiechem Marion. - Przestań śnić na jawie i zamów śniadanie.

Sadie znowu się zarumieniła. Usiadła pośpiesznie i zajrzała do bogatego menu. Poczwała nagle, że dosłownie umiera z głodu. W nocy straciła mnóstwo sił i teraz zjadłaby nawet konia z kopytami.

Ostatecznie jednak zdecydowała się tylko na szklanekę soku owocowego, maślaną bułeczkę, omlet i filiżankę herbaty, nie chcąc, aby reszta towarzystwa wzięła ją za żarłoka. Postanowiła zachowywać się z godnością i umiarem - pod warunkiem, że w łóżku będzie mogła być wyuzdaną wszeteczną!

Nie potrafiła się powstrzymać i cicho zachichotała.

Cathy i Marion westchnęły z uśmiechem i pobłażliwie pokiwały głowami. Natomiast Leonie rzuciła mordercze spojrzenie Richardowi, który nadal nie zwracał na nią uwagi.

Sadie współczuła jej i żałowała, iż nie może jakoś pomóc - zwłaszcza że to właśnie próbie uwiedzenia Spencera przez Leonie zawdzięczała swe obecne szczęście.

- Ach, widzę, że jesteś dziś rano bardzo radosna - powiedziała pani Isogawa, przystając przy jej stoliku. - To szczęśliwe miejsce. Tutaj poznałam mojego męża.

- Naprawdę?

- Tak - potwierdził z szerokim uśmiechem pan Isogawa, podchodząc do żony. - Spędzała na wyspie urlop z kilkoma przyjaciółkami, a ja zajmowałem się projektowaniem pawilonów tego kurortu. Nie mogłem oderwać od niej oczu i nie spocząłem, póki nas sobie nie przedstawiono, a wkrótce potem wzięliśmy ślub.

Oczarowana Sadie pomyślała, że to istotnie magiczne miejsce.

- Co roku przyjeżdżają tu nasi synowie, córki i wnuki - ciągnął pan Isogawa. - Może w przyszłości wy również przywieziecie tu swoje dzieci.

Sadie rozmarzyła się o tym. Spojrzała na Spence'a, lecz on przysłuchiwał się wywodowi Steve'a Walkera.

- Nie musisz dzisiaj brać udziału w naszym zebraniu - rzekł do niej Isogawa. - Wykorzystaj pobyt na wyspie i wypoczywaj, a moja asystentka przekaże ci swoje notatki.

- Uczestniczenie w zebraniu sprawi mi przyjemność - odparła Sadie.

- Zresztą to należy do moich obowiązków. Poza tym nieczęsto mam okazję oglądać Spence'a podczas pracy nad finalizowaniem umowy.

Isogawa skinął głową.

- Doskonale. W takim razie spotkamy się za godzinę.

Sadie kończyła śniadanie, przypatrując się Spencerowi. Siedział pogrążony w rozmowie z Richardem i Steve'em, lecz od czasu do czasu podnosił wzrok i spoglądał na nią z uśmiechem.

Wspominała ich ostatnią noc i rozmyślała o wszystkich przyszłych nocach, a jej serce wypełniała radość.

Richard, John i Steve dopadli Spencera, gdy tylko wszedł wraz z Sadie do jadalni, gdyż pragnęli natychmiast przedyskutować szereg spraw dotyczących Nanumi.

Nanumi. Sadie powiedziała, że to słowo znaczy „przypominać sobie”. I istotnie, Spence kładąc ją na łóżku i biorąc w ramiona, miał wrażenie, że wrócił do miejsca, w którym już wcześniej był. Wszystkie kalejdoskopowe wspomnienia - dźwięki, kształty, doznania, emocje - które wbrew sobie wyparł z pamięci, powróciły nagle z dawną siłą. A kiedy tej

nocy kochał się z Sadie, poczuł, jakby ponownie zbierał porozrzucone fragmenty układanki, stanowiącej już niegdyś całość. W uszach rozbrzmiewały mu echem słyszane w przeszłości słowa i znów doznawał znajomych uczuć.

Przeżywał coś nowego i świeżego, a zarazem dziwnie mu bliskiego.

Kochając się z Sadie, rozpoznał uczucie, którego doświadczył jedynie podczas ich nocy przed czterema laty - niezaznane ani wcześniej, ani później. Utracił je, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, a teraz odnalazł ponownie w ramionach Sadie. Uczucie, że jest akceptowany i kochany - jakby po wielu latach daremnych poszukiwań znalazł w końcu swój prawdziwy dom.

Ta myśl wciąż jeszcze go oszałamiała, gdy zbyt długo ją rozważał. To było niczym wpatrywanie się w słońce - przeżycie olśniewające, ale niemożliwe.

A jednak...

Sadie go kocha. Powiedziała mu to namiętnie i żarliwie.

On kocha ją równie mocno. Wyznał jej to nawet - ku własnemu zaskoczeniu. Nigdy dotąd nie wypowiedział tych słów do nikogo, a jednak wobec Sadie same mu się nasunęły.

Uświadomił sobie, że w istocie darzył ją miłością od bardzo dawna - i to również go zaskoczyło.

Oczywiście wiedział, że zawsze lubił Sadie, podziwiał jej determinację, inteligencję i uzdolnienia. Niewątpliwie doceniał też pomoc, jaką mu okazała, kiedy budował podwaliny swojej firmy. Świetnie im się wówczas razem pracowało i dlatego, kiedy skończyła studia w Kalifornii, zrobił wszystko, aby ściągnąć ją z powrotem do swego biura.

Wszystko to była prawda... ale nie cała prawda.

Spence pojął teraz, że przez lata czuł do Sadie Morrissey więcej, niż był skłonny przyznać. Pierwszych impulsów erotycznego pożądania doświadczył już wówczas, gdy jako licealistka zaczęła zmieniać się z podlotka w uroczą, pociągającą kobietę. Kobietę, która niewątpliwie zasługiwała na kogoś o wiele lepszego niż on. Ta świadomość trzymała na wodzy jego uczucia - aż do owej bolesnej, wstrząsającej chwili, gdy Emily go porzuciła i owe uczucia wzięły w nim górę.

Wtedy odważył się uczynić to, czego w głębi serca od dawna pragnął. Poprosił Sadie, by za niego wyszła.

I poślubił ją - a następnego dnia wszystko zniszczył. Lecz szczęśliwym trafem zyskał obecnie drugą szansę i już jej nie zmarnuje.

Był w siódmym niebie. Ostatniej nocy Sadie sprawiła, że doświadczył pełni, poczuł się żywy i kochany.

Miłość... Dotychczas nigdy jeszcze jej nie zaznał. Widział, jak inni darzą się nawzajem miłością, lecz sam nie kochał ani nie był kochany.

Ale to już przeszłość. Sadie go kocha - dowiodła mu tego tej nocy. Spence się uśmiechnął. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak szczęśliwy. Nadal był tym samym Spencerem Tyackiem, urodzonym w biednej dzielnicy, który przez wiele lat rozpaczliwie usiłował wydzwignąć się ze swego żalosnego położenia i do czegoś dojść. Lecz w rzeczywistości miał wrażenie, że się na nowo narodził. Nic, co dotąd uzyskał czy osiągnął, nie wytrzymywało porównania z darem miłości, jaki ofiarowała mu Sadie.

- ...usłyszałeś choćby słowo z tego, co powiedziałem?

Szorstki głos Richarda Carstairsa przebił się przez rozkoszną niebiańską mgiełkę, spowijającą umysł Spencera, zmuszając go do zajęcia się przez chwilę bardziej przyziemnymi sprawami.

- Co? Tak, oczywiście, że cię słucham - odparł. Lecz w istocie nie potrafił się skoncentrować na niczym oprócz Sadie. Zjadła już śniadanie, ale gdzie się podziała?

Szukał jej wzrokiem, dopóki nie dostrzegł, że stoi na tarasie. Bryza muskała jej włosy, a poranne słońce łagodnie oświetlało twarz.

- ...lecz również zbudować kilka stajni - powiedział Richard. - Co o tym sądzisz?

- Uhm - mruknął.

- Daj człowiekowi zjeść śniadanie - wtrącił Steve. - Porozmawiacie później.

Richard burknął coś niechętnie, ale odłożył dokumenty, rozejrzał się z roztargnieniem i spytał:

- Gdzie jest Leonie?

- Nie wiem - odparł Spence. W gruncie rzeczy nic go to nie obchodziło, ale ponieważ przepelniało go szczęście, poradził życzliwie: - Powinieneś ją odszukać i zobaczyć, czy się dobrze bawi, i pójść z nią popływać.

- Popływać? - powtórzył zdumiony Richard.

- Właśnie po to Isogawa nas tutaj zaprosił - powiedział Spencer z gorliwością neofity. - Żebyśmy przypomnieli sobie, co jest naprawdę ważne, i ponownie nawiązali więzi z naszymi rodzinami. Richard potrząsnął głową.

- Leonie jest moją żoną, a nie rodziną.

Spence nie widział różnicy, lecz nie czuł się w tej kwestii ekspertem.

- To tylko rada - rzekł łagodnym tonem. Richard mruknął coś i znów wsadził nos w papiery.

Sadie spędziła cztery godziny na sporządzaniu notatek - i przyglądaniu się Spencerowi. Gdyby potrzebowała więcej powodów, by go pokochać, znalazłaby je tego popołudnia.

Zazwyczaj widywała go jedynie w biurze w Butte, kiedy pracowali we dwoje. Lecz dziś zobaczyła, jak współpracuje z innymi ludźmi, wysłuchuje ich pomysłów, uściśla je i dokonuje trafnych syntez. Z grupy przemysłowców o rozmaitych poglądach i odmiennych oczekiwaniach uczynił sprawnie działający zespół.

Oczywiście nie podpisano jeszcze umowy. Jednak Spencer nawiązał bliską więź z panem Isogawą. Obydwaj mężczyźni darzyli się szczerą przyjaźnią i prawdziwym szacunkiem. Również jego dobre stosunki z pozostałymi inwestorami rzucały się w oczy. Gdy w trakcie spotkania Richard Carstairs zanadto odbiegł od tematu, Spence umiejętnie i taktownie sprowadził go ponownie na główne tory. A gdy John Ten Eyk zaczął zbyt grubo grzebnąć w szczegółach, Spencer przedstawił mu ponownie ogólny obraz sytuacji. Potrafił dobierać właściwe słowa i odpowiednio postępować z ludźmi. Dawał im poczucie pewności i pomagał skupić się na wspólnym programie.

- Byłeś nadzwyczajny - powiedziała mu Sadie po zakończeniu zebrania.

- Nie jesteś bezstronna - odparł z chłopięcym uśmiechem.

- Co nie znaczy, że się mylę - rzekła, a ponieważ ośmielała się już okazywać swoje uczucia, wspięła się na palce i pocałowała go gorąco.

Spence objął ją i zwrócił się do pozostałych mężczyzn:

- Wybaczcie nam, panowie, ale musimy z żoną przedyskutować kilka kwestii.

„Dyskutowali” przez resztę popołudnia - w łóżku i pod skalnym prysznicem. Wreszcie Spence zostawił ją, aby wraz z Richardem i panem Isogawą obejrzeć miejsce pod planowane stajnie.

Gdy całował Sadie na pożegnanie, zapytał:

- Masz ochotę wieczorem popływać?
- Popływać? - powtórzyła z uśmiechem.
- Wraz ze wszystkim, co się z tym wiąże.
- Naturalnie - odparła.

Gdy została sama, wzięła znowu prysznic, a potem ubrała się i poszła na spacer po plaży.

Przy leżakach stała Leonie i rozmawiała z Jale'em, uśmiechając się i zalotnie trzepocząc rękami. Kiedy ujrzała Sadie, odprawiła go gestem dłoni. Młodzieniec oddalił się pośpiesznie z wyraźną ulgą.

- Umówiłam się na następny masaż - wyjaśniła. - Ten chłopak jest świetny. Nie chcesz spróbować?

Sadie nie była pewna, w czym Jale jest taki świetny, lecz odparła stanowczo:

- Nie, dziękuję.

Leonie usiadła na kocu i wyciągnęła nogi.

- Przypuszczam, że nie masz ochoty, by dotykał cię ktokolwiek oprócz Spence'a. On niewątpliwie szaleje za tobą.

- Ja za nim też - odrzekła z prostotą Sadie. - A jak ty się bawisz? Wiem, jak bardzo chciałaś tu przyjechać i... - urwała zakłopotana.

- Czy Spencer opowiedział ci o tym, co zaszło w Barcelonie? - spytała Leonie, czerwieniąc się.

Obydwie kobiety spojrzały sobie w oczy.

- Owszem - odparła Sadie.

- Tak przypuszczałam. - Leonie parsknęła gorzkim śmiechem. - Kiedy wczoraj oznajmił o waszym ślubie, pomyślałam, że udaje, aby mnie odsunąć i zapobiec zerwaniu pertraktacji handlowych przez Richarda.

- Spence i ja jesteśmy ze sobą już od dawna, tylko się z tym nie afiszowaliśmy.

- Rozumiem. Masz szczęście. Zazdroszczę ci - przede wszystkim tego, że on zwraca na ciebie uwagę.

Sądząc z tego, co widziała, Carstairs ledwo zdawał sobie sprawę, że żona przyjechała razem z nim.

- Czy dlatego... eee... poszłaś do Spence'a... wtedy w Barcelonie? - spytała. - I dlatego potrzebujesz masażu Jale'a?

Leonie ponuro skinęła głową.

- Wciąż mam nadzieję, że Richard się ocknie.

- Chcesz to osiągnąć, wzbudzając w nim zazdrość?

- Czemu nie? Chcę, żeby mnie zauważył... przypomniał sobie, że jestem jego żoną. Co innego mogę zrobić?

- Może po prostu powiedz mu o tym - podsunęła nieśmiało Sadie.

- Mam mu powiedzieć, że chcę mieć dziecko?

- Dziecko? - powtórzyła zdumiona Sadie.

- Tak. Richard już ma dorosłe dzieci z pierwszego małżeństwa. Ale ja chcę mieć z nim dziecko i stworzyć rodzinę. Rozumiesz mnie?

- Tak, oczywiście.

Sadie marzyła o urodzeniu dzieci Spence'owi, odkąd tylko się dowiedziała, skąd się biorą. Wybrała już nawet dla nich imiona.

- Nie rozmawiałam o tym z Richardem, ponieważ on niemal nie dostrzega, że ja w ogóle istnieję - mówiła dalej Leonie. - Wiesz, to bardzo dziwne... Zanim się pobraliśmy, nie widział świata poza mną. Ale kiedy włożył mi na palec pierścioneł, natychmiast rzucił się z powrotem w wir pracy. Poślubienie mnie było dla niego jak podpisanie umowy. Ekscytowało go dążenie do celu, a kiedy już go osiągnął, stracił zainteresowanie.

- Może powinnaś spróbować mu opowiedzieć o swoich odczuciach?

- Chyba po prostu miałam nadzieję, że on sam to sobie uświadomi.

- Odczyta twoje myśli? - spytała z uśmiechem Sadie.

Leonie wzruszyła ramionami.

- Coś w tym rodzaju.

- To się nigdy nie zdarza - rzekła z przekonaniem Sadie. - Uwierz mi, mówię z własnego doświadczenia. Musisz mu o tym powiedzieć.

Leonie westchnęła, przechyliła głowę na bok i spojrzała na Sadie.

- Masz szczęście - mruknęła.

Sadie pomyślała o czterech latach spędzonych w czyścicu daremno oczekiwania i o ostatniej nocy w ramionach Spence'a. Zanurzyła palce stóp w ciepłym piasku, poczuła na twarzy pocałunek słońca i z uśmiechem skinęła głową.

- Tak, wiem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Dziś po południu rozmawiałam z Leonie - oznajmiła Sadie.

Leżała w łóżku na boku i całowała nagi tors Spence'a.

- Uhm — mruknął; zeszywniał i głęboko wciągnął powietrze, gdy musnęła językiem jego pępek, a potem przesunęła usta niżej.

- Jesteś bardzo spięty - zauważyła.

- Nie, tylko wyczerpany.

- Ale widzę, że mimo to masz ochotę - rzekła z uśmiechem, wciąż dotykając go i pieszcząc.

Wrócili do siebie po wspaniałej kolacji, złożonej z soczystej wieprzowiny oraz miejscowych warzyw pieczonych w lovo, czyli fidżyjskim ziemnym piecu. Podczas gdy reszta towarzystwa przyjęła zaproszenie pana Isogawy na drinka i udała się do baru, Spencer wymówił się koniecznością przejrzania z Sadie kilku ważnych dokumentów.

Lecz przez resztę wieczoru oboje nie widzieli żadnych dokumentów. Kochali się na przemian gorąco i namiętnie, to znów leniwie i swawolnie. Było w tym wszystko, o czym Sadie zawsze marzyła - wzajemna bliskość, zaufanie i intymność.

A upajając się miłością, przypomniła sobie smutną twarz Leonie.

- Miałeś rację - powiedziała pomiędzy pocałunkami. - Leonie rzeczywiście próbowała cię uwieść. Uważa, że jesteś fantastyczny, ale bardziej chodziło jej o Richarda. Próbowwała wzbudzić jego zazdrość. Kiedy się poznali, za wszelką cenę usiłował ją zdobyć, lecz najwyraźniej traktował to jako rodzaj polowania. Kiedy po ślubie osiągnął swój cel, przestał zwracać na nią uwagę.

Spence zanurzył palce w jej włosach.

- I dzięki Bogu - rzekł. - W przeciwnym razie być może nie podpisałibyśmy tej umowy w sprawie kurortu. Naturalnie, to niedobrze, że Richard nie dba o żonę - zreflektował się po chwili. - Ale Leonie nie powinna się tak bardzo uskarżać. Dzięki mężowi podróżuje po całym świecie i ma trzy wspaniałe domy - na Florydzie, w Anglii i w Kostaryce. A teraz może się cieszyć pobylem na tej rajskej wyspie.

- Nie sądzę, by zależało jej na tym wszystkim. Dla niej istotne jest jedynie małżeństwo z Richardem. Ona go naprawdę kocha.

- W takim razie wybrała dziwny sposób okazywania swego uczucia. Nie może po prostu z nim porozmawiać?

- Też jej to poradziłam - powiedziała, gładząc jego uda. - Ale rzecz w tym, że Leonie pragnie mieć z nim dziecko.

Spencer gwałtownie poderwał głowę.

- Daj spokój dzieciom! - zawołał. - Nie obchodzi mnie, czego chce Leonie! Ważne, że ja chcę ciebie.

Pośpiesznie sięgnął po prezerwatywę.

Sadie kochała się z nim z zapalem, rozkoszując się wspólnym rytmem ich poruszeń i doznań. Potem opadła na Spence'a, oparła głowę na jego piersi i wsłuchiwała się w mocne bicie serca.

- Kocham cię - wydyszała, po czym spojrzała na niego z czułym uśmiechem. - Może niedługo my też będziemy mieli dziecko?

Spencer nie odpowiedział od razu. Dopiero po chwili pocałował ją w policzek i rzekł:

- Ja też cię kocham.

Oboje ogarnął nowy przyływ namiętności. Gdy byli już spleceni w miłosnym uścisku, szepnął jej do ucha:

- Myślę, że nasze życie i tak jest wystarczająco barwne.

W piątek rano Leonie i Sadie wybrały się na plażę, podczas gdy mężczyźni dopracowywali ostatnie szczegóły umowy dotyczącej Nanumi.

- Porozmawiałam z Richardem - oznajmiła Leonie.

- Naprawdę?! - zawołała uradowana Sadie.

- No, najpierw musiałam przykuć jego uwagę i oderwać go od pracy. Zagroziłam, że rozwalę jego cholerny laptop! To zrobiło na nim wrażenie i wreszcie zaczął mnie słuchać. Wtedy wyłożyłam mu wszystko.

- I jak zareagował?

- Był zaskoczony, nawet oszołomiony. Przed ślubem nie rozmawialiśmy zbyt wiele, a później uznał, że wyszłam za niego dla pieniędzy. Ten idiota nie zdawał sobie sprawy, że naprawdę go kocham! - Leonie potrząsnęła głową i wydała z siebie dźwięk, mogący być równie dobrze śmiechem, jak szlochem.

- Dopiero teraz to do niego dociera. Chyba dałam mu sporo do myślenia.

- A co sądzi o dziecku?

- Nie mógł uwierzyć, że mówię serio. Uważał, że jest za stary - a raczej, że ja tak o nim myślę. A potem zaczął się zastanawiać, co powiedzą na to jego dzieci. Przypuszcza, że nie aprobują jego małżeństwa ze mną. Ale to on musi podjąć decyzję, choć oczywiście może zapytać je o zdanie.

Sadie oświadczyła, że uważa to za bardzo rozsądne stanowisko.

- Mam nadzieję. Zobaczymy - rzekła Leonie z uśmiechem. -

Powtórzył mi ze sto razy, że nasza rozmowa była wielkim krokiem

naprzód. I nie wyklucza dziecka. W istocie ten pomysł chyba go kusi. Ale co najważniejsze, wie już, że go naprawdę kocham. A wszystko to zawdzięczamy tobie! - zawołała, serdecznie ściskając Sadie.

- Powiedziała, że to wszystko zawdzięcza mnie - powtórzyła Sadie z uśmiechem Spencerowi, który pojawił się na plaży i natychmiast porwał ją ze sobą.

- Kto ci co zawdzięcza? - rzucił z roztargnieniem. Najwyraźniej coś go nurtowało.

- Leonie i Richard zaczęli ze sobą rozmawiać - powtórzyła cierpliwie. - On nareszcie jej słucha. Może nawet będą mieli dziecko. A Leonie uważa, że to wszystko dzięki mnie.

Lecz Spence tylko pobłażliwie potrząsnął głową. Najwidoczniej spędził ciężki dzień na precyzowaniu szczegółów umowy, powołującej w kurorcie Nanumi konsorcjum inwestycyjne, i nic dziwnego, że nie obchodziły go rodzinne problemy Carstairsów.

- Z pewnością odczujesz ulgę, że ta umowa została wreszcie podpisana - powiedziała Leonie, gdy oboje wchodzili po schodkach na ganek ich bure.

- Owszem - westchnął Spence. - Myślę, że powinniśmy już wrócić do domu.

- Wrócić? - powtórzyła zaskoczona. - Pan Isogawa oczekuje, że zostaniemy tu do końca tygodnia. Poza tym jutro przyjeżdża jego rodzina, którą mieliśmy poznać, a także dzieci Walkerów i Ten Eyków. Przecież idea kurortu Nanumi polega właśnie na kultywowaniu i wzmacnianiu rodzinnych więzi.

Spencer zacisnął szczęki i wzruszył ramionami.

- Dobrze, zostaniemy, jeśli chcesz - rzekł. Wszedł do pokoju i rzucił się na łóżko, a potem chwycił Sadie za rękę i przyciągnął do siebie.

Gdy obudziła się nazajutrz rano, Spence wciąż jeszcze twardo spał.

Nic dziwnego, pomyślała. Przecież kochali się niemal przez całą noc - namiętnie, niecierpliwie, wręcz desperacko. Prawie tak, jak przed czterema laty - tylko że teraz była pewna ich wzajemnej bliskości i miłości.

Dochodziła ósma. Sadie obiecała państwu Isogawa, że spotka się z ich dziećmi i wnukami o dziewiątej przy śniadaniu. Zdaży więc jeszcze wziąć prysznic. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby Spence przyłączył się do niej, ale wiedziała, że jest wyczerpany i znużony.

Popatrzyła na niego i jej serce wezbrało miłością. Musnęła dłonią jego potargane włosy, a potem nachyliła się i pocałowała go w nieogolony policzek.

Wzięła prysznic, wytarła się i uczesała. Kiedy wychodziła za pięć dziewiąta, Spence wciąż jeszcze spał.

Obudziły go śmiechy dzieci. Zaskoczony, otworzył oczy i przez chwilę nie wiedział, co się dzieje, a potem sobie przypomniał. Zjazd rodzinny.

Leżał, zastanawiając się, jak uniknąć całego tego zamieszania, gdy rozległo się pukanie. Wciągnął szorty, otworzył drzwi i zamrugał zdziwiony, gdy nikogo nie zobaczył. Dopiero kiedy spuścił wzrok, zorientował się, że przybysze ledwo sięgają mu do piersi.

Stali przed nim trzech chłopcy i dwie dziewczynki, podskakując i niecierpliwie przestępując z nogi na nogę.

- Nigdy nie widzieliśmy takiego dużego domku na drzewie.

Mieszkaś tutaj? - zapytał najwyższy chłopczyk, szeroko rozwierając oczy.

Po akcencie oraz podobieństwie do ojca Spencer rozpoznał synka Steve'a i Cathy Walkerów.

- Owszem, w tym tygodniu - odparł. Dzieci wyciągały szyje i zaglądały ciekawie. - Chcecie się rozejrzeć?

Czy chciały?! Niemal go rozdeptały, wbiegając do środka. Były zachwycone wielkim oknem i prywatnym wodospadem. Uganiały się roześmiane po całym bure, a Spencer śmiał się razem z nimi. Potem się przedstawił i poznał ich imiona. Najwyższy Geoff i najmniejszy Justin byli dziećmi Walkerów. Trzeci chłopiec nazywał się Keefe Ten Eyk, rudowłosa Katie była jego siostrą, a druga dziewczynka Mai - wnuczką państwa Isogawa. Nie znała angielskiego, lecz bariera językowa wcale jej nie przeszkadzała w wesołej zabawie.

- Fantastyczne! - zawołał Keefe. - Mógłbym tu mieszkać przez całe życie!

- Lecz na razie lepiej stąd wyjdź - odezwała się od drzwi Marion surowym tonem. - Wiesz przecież, że nie należy przeszkadzać gościom.

- Ale ten pan nam pozwolił - pisnął Justin, a reszta dzieci energicznie pokiwała głowami.

- Naturalnie - potwierdził Spence.

- Dzieci cię nie obudziły? - spytała wciąż zatroskana Marion.

- Nie. Już nie spałem i właśnie miałem pójść popływać.

- A więc chodźmy! - zawołał Justin, chwytając go za rękę, podczas gdy Mai nieśmiało ujęła drugą dłoń.

- Biegnijcie na plażę, zaraz was dogonię - rzekł Spence.

Gdy dzieci pognały z radosnym wrzaskiem, Marion zwróciła się do niego:

- Przepraszam, że sprawiły ci kłopot.

- Nic nie szkodzi. Są bardzo miłe - odparł.

Oboje ruszyli po schodkach w dół i po chwili spostrzegli grupkę osób wychodzących z letniego domku. Byli wśród nich starsi państwo Isogawa, młodsza para - zapewne syn i synowa - oraz dwoje wnucząt znacznie mniejszych od Mai.

Mały chłopczyk, najwyraźniej dopiero uczący się chodzić, stawiał chwiejne kroki, trzymany za rączki przez roześmianych Richarda i Leonie. Drugie dziecko piastowała w ramionach Sadie.

- Ona jest w swoim żywiole - zauważyła Marion, przyglądając się jej z uśmiechem.

A Spence musiał przyznać jej rację. - - Będzie dobrą matką - dodała.

- Tak - mruknął.

Sadie spędziła uroczy dzień, bawiąc się z wnuczkami państwa Isogawa i obserwując, jak Spence dowodzi ze starszymi dziećmi.

Wyobrażała go sobie w przyszłej roli ojca i zaszokowała wszystkich, gdy na pytanie Leonie, ile chciałaby mieć dzieci, odpowiedziała:

- Ośmioro.

- Ha! - zawołał ze śmiechem John Ten Eyk.

- Niewątpliwie byś sobie z nimi poradziła - rzekła z przekonaniem Cathy.

Jednak Sadie spostrzegła przerażoną minę Spencera i zapewniła go pośpiesznie:

- W gruncie rzeczy wcale nie chcę ośmiorga. Wystarczyłoby troje lub dwoje, czy nawet jedno. W ostateczności moglibyśmy je adoptować.

*

Sadie czuła, że pomiędzy nią i Spence'em coś się popsuło.

Kiedy dzieci udały się z rodzicami na obiad, oboje zasiedli do posiłku z Carstairsami. Leonie wciąż mówiła o wnukach państwa Isogawa, a Richard zdawał się podzielać jej entuzjazm.

- Moje dzieci... moje dorosłe dzieci - poprawił się i nałożył sobie na talerz porcję smaczkowej pieczonej wieprzowiny - będą musiały zaakceptować fakt, że chcę mieć jeszcze jedno dziecko. Ostatecznie nie są już nastolatkami zależnymi od tatusia.

Spencer przez cały obiad nie odezwał się ani słowem, a Sadie przyglądała mu się uważnie.

- Z przyjemnością przegadałabym z wami całą noc - rzekła do Carstairsów - ale wylatujemy jutro rano, a mam jeszcze mnóstwo rzeczy do spakowania. Pójdiesz ze mną? - spytała męża. - Czy może chcesz jeszcze trochę pozwiedzać wyspę?

- Chodźmy - powiedział, wstając od stołu. Pożegnali się serdecznie z Carstairsami i resztą grupy. Richard i Leonie zamierzali spędzić na wyspie jeszcze kilka dni, a obie nowozelandzkie pary odlatywały nazajutrz nieco później. Potem Sadie zwróciła się do państwa Isogawa:

- To był najcudowniejszy tydzień w moim życiu. Dziękuję wam z całego serca!

- My też ci dziękujemy - odparł Japończyk z ceremonialnym ukłonem. - Z pewnością wrócisz tutaj, gdyż jesteś teraz częścią Nanumi. - Następnie uściśnął rękę Spencerowi i rzekł: - To nie pożegnanie, tylko

nowy początek dla nas wszystkich. Mam nadzieję, że wkrótce przyjedziesz.

Spencer podziękował mu z powagą i życzył pozostałym dobrej nocy. Oboje z Sadie poszli w milczeniu drewnianym chodnikiem pod rozgwieżdżonym niebem. Dziewczyna upajała się tym pięknym wieczorem, który na zawsze pozostanie w jej pamięci.

Spence otworzył drzwi do ich bure. Sadie weszła do środka, a potem odwróciła się i objęła go mocno.

- Było cudownie - szepnęła. - Jest cudownie. Stał sztywno bez ruchu. Puściła go, odstąpiła o krok i zajrzała mu w oczy.

- Co się stało?

- Nic - odparł z wysiłkiem. Twarz miał bladą i napiętą. - Ja tylko... - urwał, po czym podjął: - To, co powiedziałeś o dzieciach...

- Żartowałam! - przerwała mu ze śmiechem Sadie. - Nie martw się, nie będziemy mieli ośmiorga. Ale wszystkie nasze dzieci muszą być podobne do ciebie.

- Nie - rzucił.

- Owszem, tak. Nie wyobrażam sobie nic cudowniejszego niż chmara ciemnowłosych urwisów, kubek w kubek takich samych jak ty.

- Nie - powtórzył z uporem. - Nie chcę w ogóle żadnych dzieci.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zaczął nerwowo spacerować po pokoju. Sadie pojęła, że nie żartował.

- No cóż, może nie będziemy mogli ich mieć - powiedziała, zaskoczona gwałtownością jego reakcji. - Wtedy je adoptujemy.

- Nie ma mowy. Żadnych dzieci, Sadie.

- Ależ...

- Nie chcę skazać swojego dziecka na takie okropne dzieciństwo, jakim było moje.

- Ach, więc to cię martwi? Ale przecież to nie będzie takie dzieciństwo.

- Owszem, będzie. Wiem o tym, bo sam je przeżyłem. Nie chcę mieć dzieci. Postanowiłem tak już wiele lat temu.

- Spence...

- Nie - rzekł stanowczo.

Chciała się z nim spierać, dyskutować. Wiedziała jednak, że kiedy wbił sobie coś do głowy, nie da się go przekonać. A w tej chwili myślał obsesyjnie jedynie o swym strasznym dzieciństwie.

- Spence - zaczęła raz jeszcze, łagodniejszym tonem, próbując pokonać mur, który wznosił wokół siebie.

- Tak będzie, Sadie. Żadnych dzieci. Koniec, kropka!

Co za uparty głupi osioł! - pomyślała.

- Ale przecież lubisz dzieci. Widziałam, jak się z nimi bawiłeś i...

- Oczywiście, że lubię, ale nie zamierzam wychowywać własnych.

- Nie możesz arbitralnie podejmować takiej istotnej decyzji.

- Owszem, mogę. I nie zmienię zdania. Jeżeli to dla ciebie takie ważne, powinnaś była mnie zapytać. Emily o tym wiedziała i Dena również. Żadnej z nich to nie przeszkadzało.

- Ale mnie przeszkadza. Poza tym nigdy mi nie powiedziałeś.

- Więc mówię teraz. Przykro mi, ale tak to wygląda - rzucił szorstko.

Podszedł energicznym krokiem do szafy, zaczął wyjmować swoje ubrania i wpychać je do walizki, odwrócony plecami do Sadie. Jego ruchy nie miały zwykłej płynności i miękkości - były gwałtowne i gniewne.

To nie był Spence, jakiego znała.

- Posłuchaj - spróbowała ponownie. - Bądź rozsądny i przemyśl to, zanim podejmiesz decyzję.

- Przemyślałem to, do diabła! - odparł ostrym tonem. -

Zastanawiałem się nad tym przez całe życie. Nie, to ty powinnaś zachować się rozsądnie, rozważyć wszystko i się zdecydować. Jeżeli chcesz mieć dzieci, Sadie - jedno, ośmioro czy sto pięćdziesiąt troje - nie możesz być moją żoną i musimy się rozwieść.

Wpatrzyła się w niego oszołomiona.

Rozwieść się? On znowu mówi o rozwodzie? Po tym najcudowniejszym tygodniu w ich życiu?

Spencer zamknął wieko walizki, a potem wpadł do łazienki i puścił wodę.

A więc dziś wieczorem nie wezmą razem prysznicu i nie będą się namiętnie kochać.

Wszystko przez jego gwałtowny, irracjonalny gniew wywołany lękiem, że ich dzieci mogłyby mieć takie samo okropne dzieciństwo,

jakiego on doświadczył. Ale przecież to absurd! Spence musi to zrozumieć. Musi!

A jednak nie rozumie.

Przygnębiona Sadie usiadła na łóżku. Zaczynała pojmować, że jej mąż naprawdę traktuje serio swoje obawy.

Uspokój się, powiedziała do siebie. Zmusiła się, żeby wstać i zabrać się do pakowania. Mechanicznie i bezmyślnie wyjmowała ubrania z szuflad i zdejmowała z wieszaków. Niemniej te czynności w jakiś sposób ją uspokajały - a widok rozmaitych strojów przywoływał z pamięci chwile, gdy Spence je z niej zdejmował, aby się z nią kochać, dzielić z nią ciało, serce i duszę.

Więc jak może nie chcieć mieć z nią dzieci?

Umie do nich trafić, a one go uwielbiają.

Widziała to dziś na plaży. Dzieciaki wprost Ignęły do Spencera, a on instynktownie wiedział, jak się zachować wobec każdego z nich. Dokazywał z Justinem i Keefe'em, uważnie wysłuchiwał opinii Geoffa, oczarował dowcipem Katie i zyskał dozgonną wdzięczność Mai, wybierając ją do swej drużyny podczas gry w piłkę.

Więc dlaczego rezygnuje z szansy przeżywania tego samego z własnymi dziećmi?

Sadie nie potrafiła tego pojąć. Miała jedynie nadzieję, że Spence się opamięta. Musi się opamiętać.

Musi.

Spencer wiedział, że Sadie będzie wstrząśnięta - i że źle postąpił, nie powiedziawszy jej przed ślubem o swym postanowieniu.

Stał pod prysznicem. Gorąca woda omywała jego głowę i ciało, a on usiłował trzeźwo wszystko przemyśleć.

Emily nie miała nic przeciwko jego decyzji, a Dena przyjęła ją wręcz z ulgą. Oznajmiła, że nie posiada ani krzty instynktu macierzyńskiego i że niedawno zerwała z inwestorem z Bahamów Carsonem Sawyerem, ponieważ zaczął nalegać na założenie rodziny.

Toteż była zachwycona, że Spencer nie chce mieć dzieci.

- Wiedziałam - rzekła. - Wiedziałam, że będziemy do siebie pasować.

Ale wtedy pojawiła się Sadie z wieścią, że nadal jest żoną Spencera - i zrujnowała wszystkie jego plany.

A potem ofiarowała mu najpiękniejszy i najszcześniejszy tydzień, jaki kiedykolwiek przeżył. Nie potrafił ani nie chciał o tym zapomnieć.

Lecz nie chciał też jej oszukiwać. Nie mógł zwodzić jej wizją przyszłości, której nie pragnął. Powinien był powiadomić ją o swoim postanowieniu w dniu, w którym po raz pierwszy kochali się na Nanumi.

Jednak tego nie zrobił, a potem, gdy oświadczyła, że pragnie mieć z nim dzieci, nie chciał zepsuć tej pięknej chwili.

A więc dobrze, okazał się samolubnym i emocjonalnym tchórzem. Ale przynajmniej jest uczciwy. Sadie musi to przyznać.

Za nic nie chciał sprawić jej bólu. Do diabła, przecież ją kocha! Jednak musiał powiedzieć jej o tym wszystkim. Nie mógł pozwolić, by nadal marzyła o gromadce dzieci, których w rzeczywistości nie będą mieli.

W końcu Sadie się z tym pogodzi. Ostatecznie jest przecież dorosła.

A gdyby nie mogli mieć dzieci? Zdarza się to wielu parom. Czy wówczas by go znienawidziła? Czy mniej by go kochała?

Wiedział, że nie, gdyż całym sercem ufał w moc jej miłości.

Musi tylko dać jej czas na zrozumienie i zaakceptowanie jego decyzji. Musi dowieść jej, że ją kocha.

Spence wyszedł z łazienki z wilgotnymi włosami i *sula* owiniętym wokół bioder. W milczeniu obrzucił Sadie nieprzeniknionym spojrzeniem.

Ona również się nie odezwała.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Wszystko, co przychodziło jej do głowy, prawdopodobnie jeszcze pogorszyłoby sytuację. Znała Spence'a na tyle dobrze, by wiedzieć, że przypieranie go do muru nic nie da.

- Czy mam nastawić budzik? - spytał wreszcie bardzo grzecznie, uprzejmie... i chłodno.

- Owszem - odparła podobnym tonem. - Przecież nie chcemy spóźnić się na samolot.

Otworzył usta, jakby chciał jeszcze coś dodać, ale rozmyślił się i zacisnął wargi. Nastawił budzik, położył się i obserwował Sadie spod przymkniętych powiek.

Każdego innego wieczoru wśliznęłaby się do łóżka, objęłaby go i oboje wyruszyliby ścieżką wiodącą do niebiańskiej rozkoszy. Jednak teraz nie mogła tego zrobić, zmrożona jego obojętnym wzrokiem.

- Idę się umyć - rzuciła.

Chwyła nocną koszulę i zniknęła w łazience.

Z radością wzięłaby ostatni prysznic pod skalnym wodospadem - najchętniej razem ze Spence'em. Ale nie było już między nimi zaufania, swobody i poczucia bliskości.

Poza tym nie chciała, by ją widział, jeżeli - a raczej gdy - będzie płakała.

Kiedy wyszła z łazienki, miała zaczerwienione oczy. Jednak Spencer nie mógł tego zauważyć. Górne światło było już wyłączone, paliła się tylko jej nocna lampka - a on leżał po swojej stronie łóżka, odwrócony do niej plecami.

Nie odezwał się. Nie wiedziała, czy śpi.

Cicho zgasiła lampkę i położyła się obok niego na łóżku, które znów wydało jej się wielkie jak stan Kansas albo Teksas.

Nie, raczej jak Alaska. Ogromna, rozległa... i lodowato zimna.

Sadie ogarnęła rozpacz. Spencer podjął arbitralną decyzję, opierając się na wspomnieniach, których z nim nie dzieliła. A potem wycofał się za nieprzebyty mur swego ponurego dzieciństwa.

Usiłowała stłumić szloch, ale Spence usłyszał i natychmiast odwrócił się do niej.

- Na miłość boską, nie płacz! - zawołał głosem przepelnionym cierpieniem. - No, już cicho. Przepraszam. Wszystko będzie dobrze.

Jak on może być taki głupi? - pomyślała. Jak może zaprzeczać tej części siebie, która kocha dzieci?

Objął ją i pocałował namiętnie, a ona oddała mu pocałunek i desperacko przywarła do niego. Kochali się żarliwie. W ciszy słychać było tylko ich urywane, zdyszane oddechy.

Jednak gdy skończyli, Sadie zamiast pełni i zaspokojenia poczuła zagubienie i pustkę. Leżała w milczeniu, wpatrując się w sufit.

Nazajutrz rano Spencer stwierdził z radością, że Sadie uśmiecha się i rozmawia z nim. Owszem, wciąż jeszcze była nieco spięta i odnosiła się do niego z niejaką rezerwą, lecz nie mógł jej za to winić. Wiedział, że jest zdenerwowana, ale był pewien, że z czasem pogodzi się z jego decyzją.

Musi tylko być cierpliwy.

Podróż powrotna do Butte była długa i męcząca, ale upłynęła bez przygód. Podobnie jak poprzednio, Sadie spała, a on się przyglądał i podziwiał jej urodę.

- A więc jak poszło? - zapytała ją Martha następnego ranka w biurze, nie potrafiąc powstrzymać ciekawości. - Och, widzę, że masz pierścione! Jest przepiękny i idealnie w twoim stylu.

Sadie przytaknęła. Zdołała się nawet uśmiechnąć, choć jej serce przeszywał ból.

- Jesteś opalona i piękna, ale wyglądasz na zmęczoną - mówiła dalej Martha. - Mam nadzieję, że to ostatnie z powodu braku snu - dodała. - Czy wy...?

Sadie skinęła głową, lecz nadal unikała wzroku przyjaciółki.

Martha przyjrzała się jej uważniej.

- Tylko mi nie mów, że on jest aż tak kiepski w łóżku - rzekła przerażonym tonem.

- Nie! - odparła Sadie, oblewając się rumieńcem.

- Było cudownie... ale jest pewien problem.

- Jaki? - zapytała Martha.

Sadie zastanawiała się przez chwilę, czy ma jej powiedzieć. W końcu doszła do wniosku, że opinia osoby postronnej może się okazać cenna. Być może Martha uzna, że to Spencer ma rację. Tak więc zrelacjonowała jej wszystkie ostatnie wydarzenia.

- To był zachwycający, cudowny tydzień - zakończyła. - Kocham Spence'a i wiem, że on odwzajemnia moje uczucie. Ale zdecydował i nie chce więcej o tym dyskutować. Może to ja zwariowałam i nie mam racji?

- Masz rację - odparła stanowczo Martha.
- Spence byłby wspaniałym ojcem. Dlaczego uważa inaczej?
- Myślę, że z powodu rodziców. Byli dla niego okropni i nie chce, aby nasze dzieci przeżyły to samo.

- Och, przecież to absurd! - zawołała przyjaciółka.
- My obie to wiemy. Ale jak przekonać o tym Spence'a?
- Nie mam pojęcia. Ale jeśli zależy ci na tym związku, musisz znaleźć jakiś sposób.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić, pomyślała Sadie. Po powrocie do Butte Spencer rzucił się z zapalem w wir pracy. Stale wisiał na telefonie, wysyłał faksy albo e-maile - i ani razu nie wspomniał o spornej kwestii.

Można by niemal pomyśleć, że to się jej tylko przyśniło.

Postanowiła się z nim rozmówić.

- Musimy porozmawiać - rzekła bez ogródek następnego ranka.

Być może nie wybrała najlepszego momentu, gdyż Spencer za kilka godzin wylatywał w dwutygodniową podróż służbową - najpierw na Bahamy, by spotkać się z Deną Wilson i jej ojcem, potem do Neapolu, aby dopilnować tamtejszej inwestycji, a stamtąd do Irlandii w okolice Cork, gdzie zamierzał zakupić luksusowe osiedle dla emerytów. Tak więc był niewątpliwie bardzo zajęty.

- Porozmawiać? O czym? - spytał, nie przestając pisać na klawiaturze kieszonkowego komputera.

Jednak gdy Sadie nie odpowiedziała, w końcu podniósł wzrok i popatrzył na nią pytająco. Odetchnęła głęboko.

- O dzieciach.

Jego twarz zastygła. Milczał długą chwilę, jakby czekał na dalszy ciąg. Wreszcie rzucił niedbałym tonem:

- A o co chodzi?

I jakby chcąc podkreślić brak zainteresowania tym tematem, znów zaczął stukać w klawisze.

Sadie przypomniała sobie postępek Leonie i wyrwała Spence'owi komputerek z ręki.

Spojrzał na nią, zdumiony jej zachowaniem.

- Powiedziałam, że musimy porozmawiać - powtórzyła.

Zacisnął szczęki.

- A więc mów.

- Nie możesz tak po prostu decydować za nas oboje, że nie będziemy mieć dzieci - zaczęła.

- Owszem, mogę - odparł.

- Powinieneś to ponownie przemyśleć.

- Nie zmienię zdania - oznajmił stanowczo.

- Widziałam na Nanumi, jak wspaniale bawiłeś się z dziećmiakami. Ty je uwielbiasz.

- I co z tego?

- Więc dlaczego nie chcesz sam zostać ojcem? Wiem, że bylibyśmy dobrymi rodzicami.

Nie odpowiedział. Siedział milczący i nieporuszony - i tylko nieznaczne drganie mięśnia policzka świadczyło o wewnętrznym napięciu.

Oboje zmierz yli się wzrokiem. Wreszcie Spencer, nie odrywając oczu od dziewczyny zamknął komputerek i wsadził go do kieszeni koszuli.

- Kocham cię, Sadie - rzekł równym, spokojnym tonem. - I myślę, że ty również mnie kochasz...

- Do diabła, pewnie, że cię kocham!

- Wobec tego postaraj się zrozumieć, że nie zmienię zdania. Moi rodzice...

- Och, przestań się chować za swoimi rodzicami! Drgnął gwałtownie.

- Co powiedziałaś?

- Dobrze słyszałeś! Wywlekasz ich za każdym razem, gdy się przed czymś wahasz. Owszem, daleko im było do doskonałości. Byli parą nieszczęśliwych, żalonych i godnych litości ludzi. Ale jeżeli ulegniesz ich wpływowi, wówczas zwyciężą. Jeśli uwierzysz w to, co ci mówili, opanują twój umysł - ciągnęła porywczo Sadie. Nie mogła się powstrzymać, choć zdawała sobie sprawę, że powiedziała za wiele, sięgnęła ostrzem zbyt głęboko. - Nie widzisz, że wciąż mają nad tobą władzę?

- Do diabła, to nieprawda! - wrzasnął. Twarz miał szkarłatną, a na szyi wystąpiły mu żyły. - Nie sądzili, że cokolwiek w życiu osiągnę. Zawsze uważali, że jestem taki sam jak oni!

- A ty też w to wierzysz. Kocham cię, Spence, i myślę, że ty także mnie kochasz. Szkoda tylko, że chyba nie kochasz samego siebie.

Martwa cisza zapadła w pokoju, w domu, w całym stanie Montana. Świat znieruchomiał. Sadie wiedziała, że wypowiedziała, niewybaczalną prawdę. Twarz Spencera zrobiła się mroczna i zacięta.

Długo stali w milczeniu, aż wreszcie się odezwał:

- Wyjeżdżam na dwa tygodnie. Jeżeli zmienisz zdanie, spotkamy się po moim powrocie. Jeżeli nie - proponuję, żebyś wyjechała i wniosła sprawę rozwodową.

*

- Zaproponował ci rozwód?! - zawołała Martha, bliska apopleksji. -

Co za dureń!

- Do tego uparty dureń - dodała Sadie bezbarwnym tonem.

Od wczorajszego wyjazdu Spence'a czuła się w środku martwa.

- Może się w końcu opamięta, dojdzie do rozumu - powiedziała przyjaciółka, uspokoiwszy się nieco.

Sadie pokręciła głową.

- On nie zmieni zdania.

Martha przyjrzała się jej uważnie i spytała:

- A ty?

- Ja też nie - odrzekła. Rozmyślała o tym przez całą bezsenłą noc. -

Gdybym została ze Spence'em na jego warunkach, byłoby tak, jakbym w niego nie wierzyła. A ja wierzę.

- Więc co zamierzasz zrobić? Rozwieść się z nim? - spytała pobladła Martha.

- Być może. Zobaczymy.

To były najdłuższe dwa tygodnie w życiu Spencera.

Zazwyczaj lubił podróże, poznawanie nowych ludzi i miejsc. Teraz jednak rozpaczliwie pragnął jak najszybciej wrócić do żony.

Co nie znaczy, że jej o tym powiedział. Zadzwoił do niej tylko raz, z Bahamów. Rozmawiali sztywno, uprzejmie i chłodno, ale pod koniec nie zdołał się powstrzymać i zapytał, starając się nie zdradzić tonem głosu swego lęku:

- A więc odejdziesz ode mnie?

- Jeszcze nie wiem - odparła.

Więcej z nią nie rozmawiał. Nie chciał jej słuchać. I tak już powiedziała za dużo.

Starał się o tym nie myśleć. Przekonywał sam siebie, że nie mówiła serio, że powodował ją gniew. Był pewien, że Sadie tęskni za nim równie mocno jak on za nią, i nie mógł się już doczekać powrotu do domu.

Udało mu się nawet złapać wcześniejszy samolot, lecący z Newark do Butte przez Minneapolis, tak że wylądował już o trzeciej popołudniu i pojechał prosto do biura, chcąc sprawić Sadie niespodziankę.

Lecz jej tam nie zastał.

W gabinecie siedziała przy komputerze Grace Tredinnick, co chwila poprawiając na nosie okulary i kiwając się w przód i w tył.

Spencer zastygł w drzwiach.

- Co tutaj robisz? - rzucił zaskoczony.

- Witaj, synku - powiedziała stara kobieta, zerkając na niego znad szkielek. - Spodziewaliśmy się ciebie dopiero jutro rano.

- Przyleciałem wcześniej. Gdzie jest Sadie? - spytał, rozglądając się po pokoju.

- Sadie odeszła. Właśnie dlatego ja tu siedzę - wyjaśniła.

Spencer miał wrażenie, że cała krew odpłynęła mu z głowy. Sadie odeszła? Poczul w żołądku bolesny skurcz. Ogarnęła go nagła fala gorąca, a potem przeniknął go lodowaty dreszcz.

- Dokąd? - zapytał drżącym głosem.

- Wyjechała do Austin w Teksasie. Dostała tam pracę.

Dlaczego odeszła? Przecież go kocha?!

- Zostawiła na twoim biurku list i jakieś rzeczy - dodała Grace.

Jeszcze nim skończyła mówić, minął ją i wpadł do swego gabinetu. Na blacie ujrzał kopertę i małe pudełeczko.

Kopnięciem zatrzasnął drzwi, opadł na fotel, rozdarł kopertę i wyjął pojedynczą kartkę. Sadie informowała go, że przyjęła pracę u Mateusa Gonsalvesa przy organizowaniu jego biura w Teksasie. Nie czyniła Spencerowi żadnych wyrzutów - oznajmiała po prostu, że postąpiła zgodnie z jego sugestią.

Otworzył pudełeczko. W środku były trzy pierścienie - dwie obrączki, które ofiarował jej w samolocie, oraz ciężki sygnet z czerwonego kamienia, wyrzeźbiony przez pradziadka.

Trzymał je w dłoni i gładził kciukiem nefryt. Policzki miał już mokre od łez, gdy natrafił na krawędź intarsji sygnetu z odłamanym sercem.

Sadie miała nadzieję, że z czasem pogodzi się z ich rozstaniem. Nowa praca była ciekawa, a Mateus okazał się sympatycznym zwierzchnikiem i zostawił jej dużo swobody. Pracował ciężko, ale od czasu do czasu brał urlop, a poza tym kultywował cudowny latynoski zwyczaj - sjestę. Dzięki temu Sadie wprawdzie siedziała dłużej w biurze, ale w środku dnia mogła wychodzić i zwiedzać Austin.

Miała także mniej czasu na uzalanie się nad sobą.

Wiedziała, że odchodząc od Spence'a, podjęła słuszną decyzję. Kochała go, lecz zarazem zdawała sobie sprawę, że nie zdoła z nim żyć, jeżeli nadal będzie przekonany, że opinia rodziców o nim jest prawdziwa. Było w nim tak wiele miłości, którą mógłby obdarzyć ich dzieci, gdyby tylko zaakceptował samego siebie.

Lecz coraz trudniej przychodziło jej obstawać przy swoim postanowieniu, gdy dni zamieniały się w tygodnie, tygodnie zaś w jeden, a potem drugi miesiąc a Spence się nie zjawiał.

Była pewna, że do niej przyjedzie - że przeczyta jej list i zrozumie, a potem odszuka ją i zabierze do siebie.

Pozostawała w kontakcie telefonicznym z Marthą. Dzwoniła też do Grace Tredinnick i raz nawet rozmawiała ze Spencerem, gdy odebrał telefon w jej gabinecie.

- Sadie? - rzucił zdławionym głosem, gdy spytała o Grace.

- Cześć, Spence - wyjąkała zaskoczona. - Co u ciebie?

- Wszystko... dobrze. Znowu wyjeżdżam do Irlandii. Rozpoczynam tam kolejną inwestycję. To będzie... - urwał. - Nieważne. Z pewnością cię to nie interesuje. Prawdopodobnie masz równie ciekawą pracę.

- Robię teraz zupełnie nowe rzeczy - rzuciła z pozorną beztroską. - Niezwykle pasjonujące. W zeszłym miesiącu poleciliśmy z Mateusem do Rio.

- Przyszła już Grace - rzekł szorstko i oddał jej słuchawkę.

Ta krótka rozmowa nie pozwoliła Sadie zasnąć przez cały tydzień. A gdy zaczęła odzyskiwać równowagę, pewnego ranka do jej gabinetu wpadł Mateus i oznajmił:

- Pogratuluj mi zaręczyn.

Sadie nie była zbyt zdziwiona, gdyż podczas pobytu w Rio de Janeiro Mateus zadurzył się po uszy w młodą uroczą Brazylijkę o imieniu Cristina.

- To cudownie - powiedziała. - Ogromnie się cieszę.

Mówiła szczerze, lecz zarazem ta wiadomość sprawiła, że po powrocie do domu zaczęła na nowo opłakiwać swą utraconą miłość. Nie wniosła jeszcze sprawy o rozwód, ale oczekiwała, że lada dzień zrobi to Spencer. Będzie potem mógł poślubić Deneę, jak pierwotnie zamierzał. F

- Czy wspominał coś o rozwodzie? - spytała przez telefon Marthę.

- Nie rozmawia wiele z nikim z nas. Najwyżej czasem pogawędzi chwilę z Grace, ale najczęściej nie ma go w biurze.

Sadie zastanawiała się, czy Spencer pracuje, czy może szuka sobie nowej żony. Stała dręczyła się takimi myślami. Wiedziała, że powinna o nim zapomnieć, lecz niekiedy miała wrażenie, że nie starczyłoby jej na to całego życia.

W drodze do samoobsługowej pralni, mieszczącej się na parterze jej budynku mieszkalnego, powtarzała sobie po raz setny, że musi wyrzucić Spencera z pamięci. Wepchnęła do pralki kolejne sztuki odzieży, a potem dodała proszek i środek wybielający. Potrzebuję jakiegoś wybielacza dla mojego mózgu, pomyślała. Czegoś, co pozwoliłoby usunąć zeń Spencer.

Gdy wkładała do szczeliny monety, padł na nią czyjś cień.

- Przepraszam, ale zajęłam ostatnią pralkę-rzuciła, nie odwracając się. - Proszę poczekać, aż skończę.

- Nie chcę pralki, tylko ciebie - powiedział znajomy, ukochany głos.

Odwróciła się gwałtownie.

- Spence!!

Zapagnęła podbiec do niego, objąć go i nigdy już nie wypuścić.

Lecz on nie zrobił ani kroku ku niej. Stał w drzwiach, z kciukami zatkniętymi za pasek spodni, jak rewolwerowiec. Zwilżył językiem wargi i odetchnął głęboko.

- Czy zechcesz mnie... i moje dzieci? - zapytał bez uśmiechu, ale w jego oczach ujrzała płomień namiętności.

- Och, Spence! - zawołała i rzuciła się ku niemu, omal go nie przewracając.

Otoczył ją ramionami i trzymał kurczowo, jakby tonął.

- Sadie, tak bardzo za tobą tęskniłem - wyszeptał jej do ucha i zaczął całować ją w szyję.

Całe wieki czekała na tę chwilę, marzyła o niej - i obawiała się, że nigdy nie nastąpi.

- Przepraszam - odezwał się za plecami Spence'a nieśmiały głos. Wysoka czarna kobieta o włosach ozdobionych pięknymi koralikami patrzyła na nich speszonym wzrokiem. - Chciałabym tylko dostać się do suszarki.

Oboje odstepili na bok, a potem Sadie rzekła do Spence'a:

- Chodźmy do mnie na górę.

Zazwyczaj podczas prania zostawała na dole i czytała książkę. Teraz jednak pociągnęła Spence'a za sobą po schodach.

- Dlaczego? - spytała, gdy weszli do jej mieszkania i przytulili się do siebie. - Dlaczego przyjechałeś dopiero po kilku miesiącach? Co takiego się stało?

- Mateus się zaręczył. Pomyślałem... że ty... i on... - Spence potrząsnął głową. - Zostawiłaś mnie i pojechałaś do niego. On jest... świetnym kandydatem na męża. Prawdopodobnie nie miałby nic przeciwko tuzinowi dzieci. - Wzruszył ramionami. - Nie chciałem stawiać ci na przeszkodzie.

Sadie odebrało mowę. Ona i Mateus? Gdyby nie jej smutek, mogłaby uznać to za zabawne.

- Nie - rzekła w końcu. - My nigdy...

- Nie wiedziałem. Zdaję sobie sprawę, że nie zachowałem się wobec ciebie właściwie. A ty masz rację. Byłabyś dobrą matką.

- Spence, chcę być z tobą, nawet gdybyśmy nie mogli mieć dzieci.

Teraz była tego pewna. Cierpiałaby, ale poradziłaby sobie z tym.

Mając Spence'a, poradzi sobie ze wszystkim.

- Jeśli nie będziemy mogli mieć dzieci, adoptujemy je - oświadczył.

- Zmieniłeś zdanie.

To nie było pytanie. Nie musiała go zadawać, gdyż widziała odpowiedź w jego wzroku i uśmiechu.

Wypuścił ją z objęć i uniósł dłoń. Oprócz złotej obrączki ślubnej od niej ujrzała na jego palcu pierścień z czerwonego kamienia.

- Dziadek sprawił, że zmieniłem zdanie - powiedział - A także Richard Carstairs.

Sadie popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Ujęła go za rękę, posadziła obok siebie na starej sofie i powiodła palcem po inkrustacji w kształcie serca.

- Nie jest już ułamane - zauważyła.

- Naprawiłem je. Dorobiłem nowy kawałek i teraz jest całością - rzekł.

Niemal usłyszała, jak dodał w myśli: „Podobnie jak ja”.

- Ten pierścień przywołał mnóstwo wspomnień - ciągnął Spence. - Kiedy znów zacząłem go nosić, przypomniałem sobie o dziadku. Był jedyną jasną postacią mojego dzieciństwa. Powtarzał mi zawsze, żebym

nie słuchał tego, co mówią o mnie rodzice. Twierdził, że usiłują mnie zranić, ponieważ sami zostali zranieni przez los. Żałował, że nie potrafi im pomóc. „Masz w sobie siłę” - mawiał. - „Możesz zostać, kim zechcesz”.
Dotąd sądziłem, że miał na myśli tylko sferę zawodową, ale teraz pojąłem, że chodziło mu też o coś więcej - o moje życie i ludzi, których kocham... o ciebie.

Podniósł jej dłoń do ust i ucałował delikatnie.

- Kilka tygodni temu zadzwonił do mnie Richard - rzekł. - On i Leonie będą mieli dziecko.

- To cudownie! - zawołała Sadie, śmiejąc się przez łzy.

- Tak - przyświadczył z powagą. — Przesyła ci podziękowania. Powiedział, że ich obudziłaś, sprawiłaś, że zaczęli ze sobą rozmawiać. Dzięki temu przemyślał swoją wcześniejszą decyzję i uświadomił sobie, że podjął ją pod wpływem lęku. Zupełnie tak jak ja - dodał Spence. - Nie chcę być taki jak moi rodzice. Pragnę stać się tym, kim chcę być, skoro wierzysz, że mogę to osiągnąć. Byłem przerażony... i wciąż jestem. - Uśmiechnął się niepewnie. - Ale może dziadek miał rację i jeśli odważę się zaryzykować, uda mi się - będę twoim mężem, ojcem twoich dzieci, człowiekiem, którego kochasz i który będzie cię kochał przez całe życie.

Sadie się rozplakała. Objęła Spence'a, całowała go i ocierała łzy - nie wiedziała, swoje czy jego.

- Tak bardzo cię kocham - wyszeptała łamiącym się głosem. -

Myślałam, że już nigdy do mnie nie wrócisz, że utraciłam cię na zawsze.

- Ale przecież w końcu wróciłem, prawda? - rzekł, zaglądając jej w oczy.

- Och, tak - odpowiedziała. - Tak, mój ukochany!

To była najpiękniejsza Gwiazdka w życiu Spencera.

Było mroźnie i padał gęsty śnieg. Wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż podczas ich podróży poślubnej na Fidżi czy w Austin, skąd przed pięcioma miesiącami zabrał Sadie do Montany.

Lecz tego ranka uważał Butte za najpiękniejsze miejsce na świecie. Leżał na sofie, tuląc do siebie

Sadie, i przyglądał się ich pierwszej wspólnej świątecznej choince.

- Jest piękna, prawda? - rzekł do Sadie.

- Owszem - odparła. - Ale jedna z ozdób wykonanych przez Grace wisi w niewłaściwym miejscu. Czy mógłbyś ją przewiesić? - poprosiła.

Spence westchnął, wstał z sofy i podszedł do drzewka.

- Która? - spytał.

Grace Tredinnick zrobiła na drutach wiele okropnych ozdób - między innymi przedmioty, które zapewne miały być gwiazdami, lecz przypominały raczej głowy Marsjan z antenowymi czułkami.

- Tam z tyłu. Widzisz?

Zdjął z gałązki inne dzieło Grace, lecz gdy przyjrzał mu się bliżej, skonstatował, że to w gruncie rzeczy nie jest choinkowa ozdoba, tylko włóczkowe buciki dla niemowlęcia.

- Dlaczego Grace je zrobiła? - zapytał.

- To nie ona - odrzekła z uśmiechem Sadie. - To ja zrobiłam je dla naszego dziecka.

Oszołomiony Spence wpatrzył się w nią z niedowierzaniem.

- Czy ona... to znaczy, czy ty... jesteś całkiem pewna...?

Sadie skinęła głową, wciąż się uśmiechając. Spencer poczuł nagle, że zabrakło mu tchu.

- Czy... dobrze się czujesz? - spytał zaniepokojony.

- Tak - odparła i dodała z lekką obawą: - A ty? Spencer zastanowił się przez chwilę. Pomyślał o stresie, ciężarze odpowiedzialności, potencjalnych zagrożeniach czyhających na ich dziecko, bezsennych nocach i płaczu niemowlęcia.

A potem uświadomił sobie z radością, że będzie dzielił życie z Sadie i miał z nią dziecko - i rozpromienił się w uśmiechu.

Przeszedł przez pokój, objął ją i pocałował.

- Dziękuję ci, moja ukochana. Nigdy w życiu nie czułem się szczęśliwszy.

